



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### ZONY LUDZI PRACUJĄCYCH.

Kwestya żon ludzi uczonych—to tylko szczególny oddział, odłam mały kwestyi o wiele ogólniejszej i dla wszystkich społeczeństw cywilizowanych bardzo ważnej: kwestyi żon ludzi pracujących. Sięga ona do głębi każdego narodu, przecież jako kwestya istnieje również tylko w klassach pewnych. Niéma jej wcale wpośród ludu, wpośród tych dołem zbitych tłumów pracowitych, gdzie kobieta musi brać na siebie cały zachód około domu i bytu rodzinnego, a dzieląc po połowie z mężem trudy i ciężary życia, wywiązuje się z zadania, jak może, jak potrafi, wedle przymiotów i zdolności swoich: lepiej, gorzej, ale zawsze stoi na stanowisku obowiązkowem, dopóki tylko między uczciwe jednostki liczyć ją można. Dopiero w miarę posuwania się ku górze, w sfery wyższego grupowania się warstw społecznych, naturalne—rzec można—pojęcie stosunku, zachodzącego między pracującym mężem a żoną, zaczyna się chwiać i w jasności swej mącić; zasada moralna równego dzielenia ciężarów życia, które jest wspólnem i na całe swe trwanie połączonem, zaczyna się rysować, jak sklepienie nad gmachem, gdzieś u podwalin zachwianym, lub nieprawidłowo wzniesionym.

Przyczyny kiedyś się kryć, w czemś tkwić muszą. Zależy nam na tem, aby je odnaleźć; gdzie przecież szukać ich trzeba? Czy tylko w samym sercu kobiety, skoro twierdziłam niedawno, że kochająca zawsze i we wszelkich położeniach życia wszystkie obowiązki żony pojmie, bo je samą intuicyą uczucia odgadnie, a przez siłę, z miłości płynącą, wykonać potrafi?

Tak—powtórzę i nigdy zdania tego nie zmienię, ale na samo wyrabianie się uczucia wpływają roz-

maite życia okoliczności, jego zwyczaje i obyczaje, a tam, gdzie mąż przedstawia się jako osobistość pracująca, występować muszą i względy ekonomiczne w związku z obyczajami i zwyczajami, a to do tego stopnia, że każda narodowość serdecznym uczuciom kobiety daje inne rozwinięcia się warunki. My jesteśmy społeczeństwem w życiowych formach swoich przeważnie szlacheckiem. Jeden ze znajomych moich, zastanawiając się nad tem, żaluje zawsze, że nas kiedyś Rzym orężem swoim nie dosięgnął, że nas w kuratele cywilizacji swojej nie wziął, bo-by nam był municypia urządził i własne nasze miasta wytworzył, stan średni z naszego narodowego żywiołu wyrobił, co by było wpłynęło u początków dziejowych na układ społecznego, towarzyskiego naszego życia, dając mu formy kształtowania się rozmaite, gdy tymczasem niemal, że do obecnej chwili życie to miało dla wszystkich wyższych klas swoich normę jedną tylko: szlachecką.

Co się tylko ponad poziom czysto ludowy wzniosło: przez dostatek i wykształcenie umysłowe ponad lud dźwignęło, wdrażało się natychmiast w jeden i jedyny porządek towarzyskiego obyczaju, nawet po miastach, gdzie nasz mieszczanin odrzucał przez uczucie patryotyczne zwyczaje patrycyatu pochodzenia niemieckiego, usiłując zbliżyć się do innej wyższej klasy narodu. I stało się nawet, że z doskonalszem, głębszem spolszczeniem się miast, zapanował tam całkowicie jeden układ życia, jeden obyczaj: urobiony wedle modły szlacheckiej.

Przyniosło nam to z jednej strony korzyści niewątpliwe: uobyczajnienie naszych klas średnich jest owiele delikatniejsze, wytworniejsze w oglądzie towarzyskiej, niż gdzieindziej, ztąd nawet w lud zupełnie prosty wiele z tego przesiąka, usuwając grubość gburowata. Nie istnieje też u nas tak silna, odcinająca się klas odrębność, jak w Niemczech, w Anglii, we Francyi nawet, i taki, naprzykład, uczony, jak Bain, nie pragnąłby u nas

uszlacheenia, które nie dodałoby mu w życiu nic więcej ani sławy, ani honorów. Tam nawet gdzie przesady średniowieczne poniekąd panują, każdy człowiek wyższego ukształcenia i poloru jest uważany za szlachcica de facto i przyjmuje go się w milczeniu za takiego, nie pytając: z jakiej warstwy społecznej wychodzi? Jak Zybliekiewicz odpowiedział niedawno, nietrafnemu mówcy, że obywatel krakowski jest równy szlachcicowi, tak życie wciąż u nas obwieszcza, że równym mu jest każdy człowiek, który się u uszlachetnionej godności ludzkiej przedstawia. Jesteśmy też sposobniejsi do demokratycznego zlewania się klas, ale drugostronnie przedstawia to w życiu praktycznym szkopyły niebezpieczne, które pociąga za sobą obyczaj ujednostajniony: pańskość pewna chce u nas panować wszędzie.

Czy większa prostota obyczajów dawnych, czy silniejsze stanie kobiety przy obowiązku, nie dawało tego uczuć tak silnie niegdyś, jak daje się to uczuć dziś w rodzinach niezamożnych, w rodzinach ludzi pracujących? Konieczność ekonomiczna już je nieprzepartym gwałtem mięci między klasy średnie; cóż, kiedy niéma u nas odpowiedniego im obyczaju i ztąd wytwarza się przepaść, która pochłania szczęście, miłość, uczucie sprawiedliwości, nawet dobroć serc kobiecych—przepaść życia nad stan.

W mieście córka urzędnika, przemysłowca lub kupca średniej zamożności; na wsi—niebogatego dziedzica jednej lub dwóch wiosek, dzierzawcy, rządcy nawet: chowa się i kształci najzupełniej tak, jak córka klas wyższych. Nawyknięcia jej i chęci są zupełnie takie same, fizyczność nawet urabia się do tego i, biorąc rzecz w jej konsekwencjach logicznych, nie można dziwić się potem, że stopień zamożności męża występuje przy jego wyborze na plan pierwszy. Bywa to częściej ze strony rodziców, niż córki: serce dziewczęce bije, istota młoda tworzy ideał szczęścia świetlany, miłością, podzielonem uczuciem opromieniony, cóż prze-

cież, gdy osiągnąwszy go, znajduje się nagle tak mało przygotowaną do tego, aby jej nie sciemniał, nie zamroczył się, a nawet nie rozprysnął się w rękę, jak ta dętka szklanna, którą zdaleka tylko podziwiać można.

Aby dom człowieka pracującego mógł mieścić w sobie ludzi szczęśliwych i zadowolonych, aby przy rodzinnym jego ognisku mogło być dobrze i miło, ta, która tu rząd trzyma, która tu jest gospodynią i panią — małżonka tego pracującego, powinna być nie tylko kobietą pracującą również, ale co więcej: powinna uważać tę pracę swoją za wynik konieczności niezbędnej i taki położenia swego obowiązek, że zaniedbanie go staje się najpierw nieszczęściem, a następnie winą.

Nieszczęściem to jest, bo bez współdziałania żony w pracy mężowskiej, bez wynikającego ztąd układu życia, zastosowanego do pracujących zajęć rodziny, ekonomiczne jego trudności wzmagają się i wzrastają codziennie w sposób przynajmniej — winą, bo dzieje się wtedy mężowi krzywda wielka, gdy cały ciężar życia, wspólnie pędzonego, na jego tylko barki spada.

Kochająca nie dopuści tego przez miłość. Choćby nie dostała takiej *pamiątki po dobrej matce*, w której głos szlachetnie pojętego życia powiada: — Oto jest ciężar, lecz ty masz ramiona... miłość „która wszystko wie, wszystko umie, wszystko może“, stanie jej się mistrzynią i nauczy obowiązku. Ta zaś, która pragnie przynajmniej być uczciwą, nie powinna usunąć się od tego obowiązku przez uczucie sprawiedliwości, ale doświadczenie życia uczy, że uczucie to tak proste, bo naturalne, jest jednak dla większości ludzi najtrudniejszą do osiągnięcia rzeczą. Zaslania prawdę egoizmem, lecz częściej jeszcze mroczy ją fałszywe o rzeczach wyobrażenie: więc potrzeba tu jeszcze rozumu, aby w małżeństwie, pojętym jako wspólka, mąż pracujący znalazł w żonie zrozumienie położenia i odpowiednie temu współdziałanie.

Skoro kobieta przez wychowanie i nawyknięcia młodości wyobrazi sobie, że bez względu na majątkowe położenia i pracę męża, powinna używać życia klas wyższych, stosować je do form tam przyjętych, dzielić choć w części rozrywki i przyjemności upowszechnione w sferze tamtej, już grunt jej szczęścia, grunt jej obowiązku podkopany jest nazawsze i drżący pod nogami. I jeżeli nie uratuje jej miłość, jeżeli nie dojdzie przez rozum do uczucia sprawiedliwości w pojęciu położenia swego i rodziny, już jej nic nie uratuje — nic, nawet praca, pracowitość największa.

Znam wiele żon takich, które pracują nie mniej, a może więcej niżeli mąż, ale praca to nieużyteczna i choć niby na korzyść ogniska domowego obracana, nie jest ona ani pomocą, ani ulgą dla męża, bo wysiłki jej skierowane są dla utrzymania tego obyczaju niezgodnego z życiem ludzi pracujących, który rzeczywistego dobrobytu rodzinie nie zapewnia lecz wytwarza jej tylko istnienie sztuczne, więc nienaturalne, fałszywe, poświęcające wygodę dla pozorów, rzecz dla formy. Że się tu dziecko chowa źle, że mąż, jeżeli nie jest też sam człowiekiem powierzchownym, cierpieć tylko na tem może, to już rozumie każdy, i praca ta nie tylko zasługą pracującej być nie może, ale przeciwnie, tylko jej w obowiązkach szkodzi, bo odrywa od nich i tym jej siłom pracowitym, którym należy wspólnie z mężem ciężary życia dźwigać, inne, niedobre użytkowanie daje. Niech nie powie, że wszystkiemu poradzić potrafi: nie, bo to rzecz nieprawdziwa i też tylko pozorami ratować się mogąca. Nikt w dwóch miejscach razem być nie może, nikt razem zajęciem prawdziwym dwóch przedmiotów nie ogarnie, i to, co się z myśli i pracowitego trudu jednemu poświęca, musi być odkradzione drugiemu.

Prócz tego sam ten obyczaj, który klasy próżniące przyjęły, już jest do pracy przeszkodą, już jest dla pracującego uszczerbkiem. Tam rządzą fantazyje, tam przeznaczeniem rozrywki jest zabijanie czasu i wyczerpywanie tego naturalnego zasobu sił umysłowych i fizycznych, które, w żadnej pracy nie spotrzebowane, ciężką, i dopominają się użytkowania jakiegos. Weźmy na przykład ten skomplikowany ubiór elegancki, który kobiecie w klasie bogatej nieraz kilka godzin szczęśliwie nudom odkradnie, a w klasie pracującej nie-

szczęśliwie obowiązkowi matki, żony i gospodyni je zabierze. A wizyty poranne dam, a nocne, już nie wieczorne, zebrania, czy to tryb życia ludzi pracujących? Każdy człowiek potrzebuje mieć rozrywkę, potrzebuje przyjemnością trud życia osłodzić, wypoczynek jakiś sobie dać i myśli, zabiegami troskliwymi zmęczonej, na oderwanie się od nich pozwolić; ale musi się to dziać w formie odpowiedniej i takiej, aby owa rozrywka, owa przyjemność z pracą i obowiązkiem do sporu nie stawała i sporem tym nie była pracującemu raczej utrudzeniem i ciężarem, niżeli ulgą i rozkoszą.

Nie tylko więc sam koszt materyalny przy naśladowaniu klas wyższych, budżet klas pracujących obciąża. A to jeszcze, to szczególnie, że się tu pozor rzeczy ofiarami okupuje więc pozorność, próżność, umiłowanie fałszywego blasku do umysłów, do serc wpuszcza i w moralnej naszej głębi rozwielić im się nakazuje. Ta wielka pani, która sobie strój wytworny komuś sporządzić każe i zapłaci za niego pieniędzmi, o które niewiele się troszczy, jeszcze niekoniecznie lalką być potrzebuje, a w każdym razie może nią być mniej niżeli ta, która pracy nad gałgankiem, możliwości zdobycia tego gałganka musi poświęcić trud myśli i zachodu troskliwego. Przez to już nicością się staje, że jej się trzeba tak w nicości zatopić i wysiłek pracowity na nią wyłożyć; skoro też kobieta z tych klas niezamożnych, w których byt rodzinnego ogniska jest na dochodach z pracy oparty, chwali się: jak tanio elegancja jej kosztuje, mam zawsze chęć odpowiedzieć, że nie... kosztuje ją niezmiernie, niezmiernie drogo, bo naruszyła na nią kapitału, za który inne, wyższe, szlachetniejsze rzeczy nabyć można.

Zatem życie, postawione w takich warunkach fałszywych, nawet z cnoty, z przynajmniej rzeczywiście ważnego w życiu rodzinnym, z praktycznej za biegłości kobiety, nie daje zbierać owoców pożądanym. Idą one namarnie i nie przynoszą jej zasługi, a jemu: mężowi pracującemu, ulgi żadnej. Jestto jakgdyby wyrzucanie za okno kosztowności i psuje nie mniej, jakgdyby rzeczywiście ktoś ciskał w błoto dukaty, mogące za wartość swoją karmić głodnych, odziewać odartych. Jedną też z wielu szkód, spowodowanych przez takie zło z zasobów naszych użytkownika, jest to, że pracujemy zawsze dla chwili bieżącej, że ta godzina czasu, w której żyjemy, pochłania nas całkowicie i nie daje myśleć o przyszłości. A jednak ta przyszłość się przybliża z dniem, z godziną każdą i prowadzi ze sobą wiek, odejmujący siły do pracy, zmniejszający je ciągle, choć zwolna. Sieje się wiosną, zbiera jesienią, aby zimą, która pracy kres konieczny kładzie, w ogołoceniu nas nie zastała, bo wtedy losem naszym jest nędza, życie pełne braków i doświadczeń okrutnych, na które przecież wystawia się każdy, kto sił młodych nie stara się użyć tak, aby coś ze zbieranego dorocznie plonu odłożonym być mogło na zapas starości, zimy życia. Pod tym względem społeczeństwo nasze przedstawia smutną ilustracją do zarzucanego nam ciężko aforyzmu: — jakoś to będzie! Kto robiąc wszystko co sumienie i rozum, lub nakaz szlachetny ofiary w pewnych okolicznościach czynić mu każe, z przyszłością w targ nie wchodzi i szlachetnie na wszystko przygotowany powiada sobie: — jakoś to będzie — jakoś mężnie, uczciwie, z uczuciem spełnionego obowiązku los swój znieść się musi... ten jest wspaniałomyślnym i dostojnym człowiekiem. Ale ten, który jak konik polny lekkomyślnie lato swe przebawi, który nie mogąc podnieść się rozumnie nad przesąd lub rutynę, o przyszłości swej nie myśli i przezornym stać się niepotrafi, ten tylko słabym jest i nierozsądnym. A przecież spojrzymy wkoło siebie i pomyślimy: ilu też ze znanych nam ludzi pracujących choć cośkolwiek odkłada — na starość, na chorobę, na chwilę dla pracy niepodatną?

A jednak jestto występkiem, nie tylko przeciw sobie samemu: jestto występkiem względem tych, co przyszłość naszą dźwigać muszą, czy to będą dzieci, rodzina, czy społeczeństwo tylko. Zużyliśmy egoistycznie wszystko, cośmy wyprodukować mogli, składając na kogoś ciężar starości naszej. Że przecież istnienie takie o łaskawym chlebie w każdym razie musi być smutne i przy-

kre, zamyślić się nad niem potrzeba, tak tym, którzy pracując, nie przecież z przychodu pracy swojej zaoszczędzić nie umieją, jak tym, którzy stanu takiego powodem się stają. Żony ludzi pracujących wzywam tu, aby, schyliwszy czoło zadumane, pomyśleć chciały o jutrze — o przyszłości tych pracujących, których trudem stoi dziś ich dom wygodny, ich byt dostatni, ich zaciszne ognisko rodzinne.

„Jutra nie każdemu dożyć“ — powiada poeta, ale niemniej każdy liczyć się powinien z tem jutrem, które jednak dożytem być może, a cóż dopiero z tem jutrem już nie naszym własnym, ale kogoś innego: kogoś kochanego, miłego nam, a przynajmniej takiego, który pod karą grzechu i występku kochanym i miłym nam być powinien.

(Dokończenie nastąpi).

## SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Sitko, niewiedząc o jej położeniu, na które zresztą poradzić-by był nie mógł, bo sam tymże marł głodem, zobaczywszy, prześlicznie wykończony ów krajobraz z młynkiem, począł nalegać na artystkę, aby go dać na wystawę pozwoliła.

— Zmiluj się pan — odpowiadała mu z uśmiechem. — Taki biedny polski mostek możeż kogo tu zainteresować, a krajobrazów tyle ślicznych na wystawę przybywa! Czyż sądzisz pan, że znalazłby się kupiec na niego?

— A któż wie? — odparł Sitko — Niemcy rzadko kupują, ale naszych rodaków przejeżdża wielu. Kiedy-bo to taki mostek!

Powtarzał zachwycony. — Ja, chłopcem małym będąc, przy takim mostku się kąpałem.

— A ja... siadałam przy nim wieczorami, wracając z przechadzki — szeptała Ludmiła. Lecz co dla nas obojga jako wspomnienie jest drogiem, dla innych będzie obojętnem.

Mostek ten zresztą — dodała — miał dosyć szczęścia. Rysowałam go i przerysowywałam różnie wiele razy, kilkakroć próbowałam z niego zrobić obrazek; ale dawna moja umiejętność nie starczyła na to. Ze szkiców byłam niekontenta, ale inni je chwalili. Ze wszystkich robót i robótek moich on się zawsze najlepiej podobał.

Ludmiła przypominała sobie, że wczasie bytności swej u stryjowstwa, gdy była wczesną pokazywać rysunki, między innymi i hrabia Zygmunt nad tym mostkiem się unosił i znajdował, że w nim charakter krajobrazu naszego bardzo był szczęśliwie pochwycony.

Na wielkie nalegania Sitki, który obiecywał, że i na drezdeńskiej wystawie mostek się podoba, Ludmiła zgodziła się go na nią posłać.

Ciągnęło to za sobą — niestety — kupienie ramy, a, mała rzecz, ramy, wistocie dla obrazu są tem, czem strój dla pięknej kobiety. Może ona być piękna i bez niego, ale w nim wdzięk jej się uwydatnia. Złe ramy psują wrażenie obrazu, a dobre i dobrane do niego — kosztują. Sitko pominął milczeniem potrzebę tego niezbędnego dodatku; wiedział, że Sciborzance trudno ramy kupić; będzie, spodziewał się, że je dostanie na kredyt, i miał nadzieję, że — obraz się sprzeda.

Ludmiła jej nie dzieliła, lecz gotową była oddać za najlżejszą cenę. Od Tarkowskiego listu i pieniędzy nie było, a potrzeby naciskały.

Wychodzącemu więc już Sitce, który obraz wynosił prawie gwałtem — szepnęła z westchnieniem, aby na wypadek wszelki cenę położył — jaknajniższą.

— Bardzo mi żal będzie się rozstawać z tą

pierwszą, trochę lepszą pracą moją — ale, panie Prosperze, są pewne okoliczności, które zmuszają.

Zresztą — rzekła z westchnieniem — wcale się nie spodziewam, ażeby mój pejzażyk ściągnął czyją uwagę.

Sitko, który jeszcze nigdy sam nie się nie odważył dać na wystawę i nie miał do czynienia z tymi, co ją urządzają, nie miał też pojęcia i nie znał wszystkich formalności i trudności, jakie się w takim razie spotyka.

Komitety, który wyrokuje o przyjęciu lub odrzuceniu, jest wprawdzie aż nadto łaskawym i nie prawie nie odpycha. Lecz od podrzędnych władz i ich fantazyi zależy umieszczenie dzieła, które może być wywieszono tak, że albo go nikt nie zobaczy, lub fałszywie albo niedostatecznie światło oświetli go nie da. Tu potrzeba albo protekcji lub datku, a często oboje nie starczą. W Saxonii i wszędzie na świecie (oprócz u nas) krajowcy mają pierwszeństwo, obcy tylko w wypadku tym, gdy sławę zdobyli, pewnymi względami są zaszczytzeni. Wystawa się lęka, aby ze szczupłej liczby kupujących, ktoś nie nabył co nietutejszego.

Sitko wyobrażał sobie rzecz tę daleko łatwiejszą, a znalazł ją bardzo trudną. Obraz został przyjęty wprawdzie, ale dziesięć dni na wywieszenie czekał w komórce, a jedenastego na wielkie naleganie przykuto go do ściany w ostatnim rzędzie, w mroku i tak wysoko, że nikt dojrzeć go nie mógł.

Za drugą protestacją przewieszono go tak, że światło miał z prawej strony, za trzecią, popartą talarem, dostał się w miejsce znośne.

Sitko codziennie pielgrzymował, podsłuchując, co tam o młynku mówią i sądzić będą i zgryzł się tem, bo koło obrazu ludzie przechodzili, ledwie okiem rzucając.

Alpejskie trywialne krajobrazy, modelowane wedle znanego szablonu: z sinemi górami w dali, modrem jeziorem wpośrodku, a grupą drzew, kamieni i chatą szwajcarską na pierwszym planie, daleko więcej wejrzeń ściągają.

Była to zawsze ta sama historia popularności „Modlitwy dziewczęcia“ panny Bondarzewskiej.

Maurycy Schwind, znakomity artysta, a wielki miłośnik muzyki, źle wróżył o przyszłości Niemiec, które się zachwycały podówczas trywialnymi melodiami Procha i Kückena. Rozpaczać jednak nie potrzeba nigdy, bo po Kückenie Wagner przychodzi.

Ludmiła, niemając co robić, rozpoczęła drugi obrazek. Był to obrazek wiejski wśród starych drzew, z otaczającym murem i cmentarzykiem, w wieczornej godzinie, ciemno malujący się na niebie od zachodu ozłoceniem. Szczegóły z natury wzięte czyniły ten obrazek mniej już oryginalnym — zajmującym. Nic nie było łatwiejszego nad odmalowanie go na efekt, jaskrawo, nie trudniejszego nad uniknięcie w nim trywialności; ale w tem właśnie pocucie estetyczne się uwydatnia, gdy pospolite zadanie pendzel umie uczynić nowym i nadać mu cechę własną.

Udało się to Sciborzance, która, malując niewiele, całą swą duszę wlewając w to, co tworzyła, myśląc, śniąc, marząc o obrazie, znajdowała dlań barwy i odcienie świeże.

Sitko, który czasem zachodził, znajdował ten obrazek piękniejszym jeszcze, ale smutnym. I o nim mówił, że on mu rodzinną wieś z jej kościółkiem przypominał.

Żyły kręcili mu się w oczach.

Ludmiła pilno ale ze strachem dopytywała go o młynek; poczciwy p. Prosper kłamał, że go bardzo chwalono, lecz wistocie nie pocieszającego donieść jej nie mógł.

Upłynęło tak parę tygodni. Sitko mniej już zachodził na wystawę, a nawet do p. Ludmiły. Bolesnie mu było zawsze wracać do niej z rękami próżnymi. Jednego ranka, gdy przechodził Brühlowską terrasą, obok drzwi wystawy, w których stał pan kasztelan nią zawiadujący, uczuł, że go pochwycono za rękę.

— A, to pan jesteś, co dałeś na ekspozycją ten młynek? — zapytał go urzędnik. Czemuż pan się nie dowiadujesz? Nie położyłeś ceny. Niewia-

domo: czy jest na sprzedaż czy nie? Nikt nie wie gdzie się dowiedzieć.

— Alboż co? — zapytał Sitko.

Kasztelan zrobił minę dumną i kwaśną.

— No! co! co! — odparł. — Cóż ma być? Możeby kto zapytał o niego i chciał kupić?

— W takim razie adres mój panu zostawię — rzekł Sitko.

Kasztelan nań z góry popatrzał.

— Cóż za cena? — przebąknął.

— Niech się kupiec znajdzie, pomówimy — rzekł Sitko.

Władca wystawy, na którym bardzo licha odzież i niewiele obiecująca postawa artysty musiała czynić wrażenie człowieka, pilno grosza potrzebującego, spekulować już chciał na nim.

Zmilkła pogardliwie. Sitko na kawałku papieru napisał mu swój adres i podał. Ten przyjęty został pogardliwie; lecz, gdy Sitko, pokłoniwszy się, chciał już odejść, kasztelan powołał go na powrót.

— Potrzeba umieć żyć — rzekł sentencyjnie, i drugim też żyć dać. Hm, kupiec-by się znalazł.

— Zgłaszał się kto?

— Mogłby się kto zgłosić — odparł urzędnik enigmatycznie, ręką wodząc po brodzie.

Sitko dopiero teraz zrozumiał o co idzie.

— No, gdyby obraz sprzedał się dobrze — rzekł — chętnie-bysmy się odwdzięczyli. Nie mój on jest, ale artystka, co go malowała, dała mi upoważnienie.

Kasztelan się udobruchał.

— Idź-że pan: w Hotelu Saskim, stoi ktoś, numer 23, który ten obraz nabyć pragnie i dopytuje się o niego; ale czasu tracić nie trzeba, bo na takie roboty pokupu niema. Jest to szczęśliwy przypadek. Spiesz pan, żyć.

Sitko natychmiast zawrócił się i z bijącym sercem popędził do Hotelu Saskiego.

Pod numerem 23 zapisane było hrabiowskie nazwisko polskie, ale tak przekręcone, iż z niego nic się domyślić nie było podobna. Portier oświadczył, że przypadkiem pan ten był w domu. Sitko wszedł na pierwsze piętro.

W krzesło u okna, z książką w rękę, siedział młody, bardzo przystojny mężczyzna, który, zobaczywszy nieznanego w stroju zaniedbanym, machinalnie rękę włożył do kieszeni. Drewno słynęło z wielu tu zabłąkanych ubogich ziomek. Sitko, który poczuł, że za jednego z tych biednych wziętym być może, zacerwienił się, począł belkotać i jeszcze podobniejszym się stał do tego, czem być się w oczach hrabiego lękał.

Pospiesznie, gwałtownie wyrzucił wreszcie wiadomość o obrazie wystawionym.

Hrabia, zmieniwszy ton i postawę, wskazał mu krzesło i z nadzwyczajnym zajęciem, rozpytywał go począł.

— Zmiluj się pan! — zawołał — tam podpisana jest L. Brzeska. Znasz pan osobę co to malowała? gdzie ona jest? tu? możesz mi pan dać o niej jaką wiadomość?

Wielka skwapliwość w dopytywaniu, zdradzony niepokój jakiś, nadzwyczajne naleganie, aby się dowiedzieć, wreszcie ofiarowane cygaro, zmieszaly i zbiły Sitkę z drogi. Na myśl mu przyszło, że może p. Ludmiła nie będzie sobie życzyła, aby o niej uwiadomiono tego kogoś, który z tak podejrzaną natrętnością go badał.

— Pan hrabia daruje — wyjąknął, ale ja — to jest, mnie — to jest ja — to jest tego — pan hrabia nie weźmie za złe, że ja, mnie tylko obraz powierzono do sprzedania. — bo...

— Ja go kupuję — zawołał nieznanomy, nie pytam o cenę, ale chcę wiedzieć: gdzie jest ta osoba, co go malowała?

Sitko zaczął się tem mocniej, strasznie się zmarszczył i skrzywił; spotniał, myśląc, co ma począć.

— Wie pan hrabia co — rzekł — ja, to jest mnie, niech pan raczy dać swój bilet, a jeżeli ta osoba życzy sobie będzie....

Hrabia, trochę zniecierpliwiony, trochę nadąsany, ale prędko się namyśliwszy, dobył milcząc bilet z pugilaresu i wręczył go artyście, który się nisko uklonił.

— Pan hrabia daruje — rzekł — ale my biedni artyści, a szczególnie artystki, wystawione są na różne.... narażone, na takie....

Zająknął się i nie dokończył.

Hrabia popatrzył nań i dał znak, że go rozumie.

— A teraz — dodał — mówmy o obrazie. — Jest na sprzedaż?

Sitko głową to potwierdził.

— Powiedz mi pan cenę? — zapytał hrabia z pewnym rodzajem zniecierpliwienia, pugilares mnąc w rękę.

Dla pełnomocnika p. Ludmiły chwila ta była niezmiernej wagi i grozy. Powiedzieć mało nie chciał, za dużo — obawiał się, aby nie zrazić, wiedząc, jak artystka sprzedać potrzebowała.

Zaciął się tak, wargi zakąsił, w ziemię się zapatrzył, palce zaczął wykręcać, że żal nań było patrzeć; a że poczciwa dusza malowała się w tej brzydkiej twarzy, oczekujący powziął litość i współczucie.

— Pytam o cenę? — powtórzył.

— Panie hrabio — począł z pośpiechem Sitko — słowo daję, proszę mi nie mieć za złe. Wyznam to panu, osoba, która obrazek malowała, bardzo go potrzebuje sprzedać, bardzo... na mnie się zdała. Boję się! Ja wyznam p. hrabiemu, chciałbym wziąć jaknajwięcej... jaknajwięcej... a nuż zrażę.

Rękami zamachnął desperacko.

Hrabia się uśmiechnął.

— Siadaj pan — rzekł. — Ja także panu powiem otwarcie, że osoba, która ten obrazek malowała, bardzo mnie obchodzi. Znałem ją niegdyś, to jest, spotykałem.

Postaw pan cenę jaknajwyższą.

— Ha! — wykrzyknął naiwnie uradowany Sitko. — Ba! to ona nie przyjmie! Tu sę.

Dobrodusność Sitki, który poznać się dawał coraz lepiej każdym słowem, wywołała uśmiech na ustach hrabiego.

— Wiesz co! targujemy się, ale tak, że ja zaczęę od... jak myślisz? od jakiej summy mam zacząć.

Sitko ocierał pot z czoła i wzdychał.

— Kiedy tak — odezwał się ośmielony — powiem hrabiemu, że ja, dla siebie, gdybym miał pieniądze, gdybym był bogatym, dałbym za niego, co to mówić, dwieście talarów.

Rzekł to z takim uniesieniem, iż niem bardziej jeszcze ujął hrabiego.

— Ja dam tysiąc, — odparł spokojnie.

Sitko się porwał z krzesła, ręce podnosząc ku niebu i padł na nie zasmucony.

— Kiedy niemożna! — odparł, — panna Ludmiła chciała wziąć pięćdziesiąt. Jeśli ja jej sto przyniosę...

Hrabia się zasepił.

— Oddaj mi pan mój bilet, — rzekł. — Widzę że w ten sposób jak zaczęliśmy, nie zrobimy nic. Słuchaj mnie pan: kłamać potrzeba. Jeśli panna Ludmiła dowie się, że ja jestem nabywcą obrazu, nie przyjmie pewnie więcej nad summę oznaczoną. Ale uczciwy człowiek w uczciwym zamiarze skłamać może, mimo nauki Świętego Augustyna. Anglicy są ludzie fantastyczni, powiedz pan, że się znalazł zapalony syn Albionu i żeś na nim wytargował trzyset talarów.

Sitko w ręce klasnął.

— Ale, proszę hrabiego, — zawołał rozrzucony, — słowo daję, gdy mnie zacznie dopytywać, ja, to jest tego, pobałamucę i nie potrafię dobrze skłamać. To nie moja rzecz... słowo daję.

Młody hrabia śmiał się, zdając się równie poruszony jak artysta.

— Ja panu pomogę, — rzekł. — Panna Ludmiła umie poangielsku, napiszę kartkę. Zanieś ją, powiesz, żeś Anglika nie widział. Ceny na obrazie podanej nie było, kasztelan.

Sitko się rzucił z najżywszą wdzięcznością do mówiącego.

— A! tak! to będzie doskonale, bo na mnie się spuścić, abym ja Anglika skomponował, — nie można.

Hrabia szedł już pisać do stolika.

— Wiesz pan hrabia co, — przebąknął Sitko, i oczy mu radością zaświeciły. Dajmy na to, że Anglik się znalazł, który daje... trzysta talarów, cena szalona, ale i Anglicy szaleni bywają. Panna Ludmiła ma rozpoczęty *pendant* do młynka, wyobrażający wiejski kościółek.

— Przy zachodzie słońca, — przerwał hrabia, zdradzając się, — pamiętam go,

Sitko osłupiał na chwilę.

— Proszę hrabiego, ten pocziwy Anglik nie mógłby też zażądać *pendant* i dać zadatek?

— Ale nie, — zawołał hrabia, — nie zadatek! Anglik daje z góry za drugi obraz sumę całą, aby być tem pewniejszym, że kościółek mieć będzie. Pan niesiesz szesćset talarów.

Sitko ręce załamał.

— Panie hrabio, ona w tego Anglika nie uwierzy! — krzyknął rozpaczliwie.

— Musi uwierzyć. Cóż znowu! — począł hrabia z gniewem prawie. — Przyniesiesz pan pieniądze, Anglik odjechał. Niema go. Położę adres zmyślony: *Devonshire, Baron Lyonets Castle*.

Ta łatwość tworzenia Anglika i adresu prawie w osłupienie wprawiła Sitkę. Stał oniemiały i pełen poszanowania. Cygaro, którem go obdarzono, zapalone przez grzeczną, oddawna było zagasło. Trzymał je w ręce drżącej.

Hrabia zapalną mu podał.

— Siadaj-no pan, — rzekł. — O mnie już mowy być nie może. Widzisz pan, że życzę dobrze pannie Ludmile. Nie chcę wiedzieć, jeśli pan mi zwierzyć tego nie możesz, ani gdzie jest, ani nic... tylko: w jakim położeniu się znajduje?

Sitko, któremu cygaro zgasło powtórnie, zmarszczył się strasznie, ściągnął usta, Ducha Świętego wzywał o natchnienie.

— Ja to czuję, — rzekł, — że pan hrabia masz życzliwość dla panny Ludmiły, ja w to wierzę. Ale-bo to jest i anioł i geniusz...

Hrabia nie przerwał, skinął głową tylko.

— Otoż położenie, — ciągnął dalej Sitko, — jakby to powiedzieć — położenie panny Ludmiły.

Tu przerwał poruszony, łzy mu się w oczach zaplątały.

— Ona, proszę hrabiego, jada obiady po trzy srebrniki, ona z głodu mrze.

Słyszając to młody pan, który się pilno wpatrywał w artystę, drgnął, pobladł i żywo zaczął chodzić po pokoju. Nie odpowiedział nic, zamyślony, dopiero po dłuższem rozważaniu zbliżył się do Sitki i rzekł:

— Najpierwsza rzecz: idź pan do niej z tą kartką i Anglikiem. Zanieś pieniądze. Jutro zaś przyjdź na obiad tu do mnie. Radzić będziemy.

Niedosyć na tem, że się obraz nabędzie. Waćpan wiesz, że pieniądze oddziałują na sławę artysty. Im kto sprzedaje (drożej, tem wyżej jest ceniony. Trzeba na wystawie rozgłosić.

— A! bo — przerwał Sitko, — trzeba będzie większy procent zapłacić i kasztelanowi kubana.

— Wszystko to moja rzecz, ja te koszta ponoszę, — odezwał się hrabia żywo. Od jutra może na siebie zwrócić uwagę i pozyskać sławę.

Sitko za ten pomysł rzucił się, chcąc uściskać hrabiego. lecz w sam czas pomiarkował, iż byłby popełnił śmieszność i zuchwalstwo.

— Niech panu Bóg płaci! — zawołał w uniesieniu.

Hrabia cisnął mu talary.

— Idź, a jutro na obiad do mnie. Na trzecią.

Sitko nie śmiał ani się wymawiać, ani powiedzieć: dlaczego trudno mu było przyjąć zaproszenie. Uśmiechnął się dziwnie, podniósł połę surduta brudną, z podszewką podartą i mruknął:

— A kiedy ja innego nie mam.

— Przyjdź pan w tym, byleś z tem samym sercem pocziwem tu przyszedł, — odparł hrabia, podając mu rękę.

W życiu swoim ani własnych, ani cudzych Sitko nie miał nigdy tyle pieniędzy. Wyszedł z obawą, aby albo ich nie zgubić, albo w drodze nie uleść wypadkowi jakiemu. Pilnował więc trotoarów i omijał rusztowania, z których na niego coś spaść mogło. Pierwszy raz czuł, że życie jego było drogą.

Godzina była przedwieczorna i Ludmiła stała, dokończywszy malowania, zapatrzona w swój obrazek poczęty, ze smutną i zaszępiłą twarzą, gdy wszedł Sitko, rękę trzymając jeszcze na kieszeni. Ręka ta drżała, ale i twarz wielce brzydka pocziwego chłopaka drgała, a była jakoś tak wykrzywiona, iż Ludmiła, zobaczywszy go, uleżała się.

— Co to panu?

— Stał się cud! — zawołał Sitko. — Młynek

sprzedany! ale jak! ale jak! kościółek sprzedany! Oto karteczka, a oto pieniądze.

Zarumieniła się Sciborzanka.

— Ale czyżto podobna?!

Sitko na małym stolyczku począł pięćdziesięciotalarowe rozkładać assygnaty i wyliczył ich dwanaście. Ludmiła patrzyła na niego, to na nie, oczom nie wierząc.

— Nie! to nie może być! — zawołała, — to nie może być.

Wzięła kartkę do rąk poangielsku pisaną i czytała ją raz i drugi, niemogąc zrozumieć.

Wpatrzyła się potem w Sitkę, który stał jak winowajca, czerwieniąc się, blednąc, poprawiając surdut, obciążając kamizelkę. Potarła ręką po czole i oddech z piersi jej dobył się ciężki...

— Tak, to cud! — rzekła cicho, — to chyba cud, jeśli to nie jest jakieś kłamstwo.

Sitkę oblała krew.

— Ale jakżebym ja mógł poangielsku kłamać, kiedy tego języka nie znam! — zawołał naiwnie.

Ludmiła usiąść musiała na krzesło.

— Anglik oszalał, — rzekła zamyślona, — ale jakżeś pan śmiał taką na moją robotę cenę położyć!

— Ja! ja niepołożyłem żadnej ceny, — rzekł Sitko, przypomniawszy sobie instrukcją hrabiego. — Kasztelan wystawy, widząc, że się Anglik zapalił, rzucił ją na wszelki wypadek.

Ludmiła słuchając pilno mu patrzyła w oczy. Nie mogła jeszcze przypuścić możliwości takiego cudu. Sitce jaknajpilniej było się ztąd wyrwać, bo się zdradzić obawiał.

Wstał z krzeselka.

— Muszę iść, — rzekł, — bardzo mi pilno.

Wtem Sciborzanka zatrzymała go, chwytając za rękę.

— Słuchaj pan, — rzekła. — Jesteś uboższy odemnie, winnam ci to szczęście moje. Dzielimy się.

Odkroczył Sitko i oczy mu się zaiskrzyły.

— Pani, — zawołał, — to nie poprzyjacielsku, — ja nie wezmę jałmużny, nawet z jej rąk! Nie upokarzaj mnie!

I cofnął się coprędzej.

— Nie gniewaj się — cicho szepnęła, podając mu rękę Ludmiła.

Sitko schylił się, pocałował podane paluszki białe — i uciekł.

Niespodziane szczęście, które tak rzadko ludzi spotyka, czyni czasem na nich wrażenie zabójcze niemal, zwłaszcza, gdy przychodzi w chwili zwątpienia i po długim ucisku. Ludmiła uczuła po wyjściu Sitki ból w głowie, ból w sercu — i osłabła, musiała się rzucić na łóżko.

To, co ją spotkało, było do wiary niepodobnem. Podniosła się, wzięła do rąk kartkę ze stolika, czytała jeszcze, i pismo wydało jej się nie angielskim, styl jakimś obcym. Miała przecucie zdrady.

Lecz Sitko był nadto niezgrabnym, aby ją mógł uknuć, zbyt ubogim, by się na to zdobył, a nie mogła posądzić nikogo innego o tak wyrafinowane przyście w pomoc. Musiała więc wreszcie uwierzyć w bajecznego Anglika.

Gdy wchodząca z herbatą gospodyni zobaczyła te rozłożone na stoliku pieniądze i dowiedziała się z ust Ludmiły, że były zapłatą za jej dwa obrazy sprzedane, na których się poznać nie umiała — nadzwyczajny respekt uczuła dla artystki.

Wybiegła do swoich, niosąc wiadomość tę nie do wiary — którą zaraz cały dom napelniła. Wprawne oko Saxonki policzyło, że biletów było dwanaście.

Lecz wrażenie, jakie to wywarło na gospodyni, niczem było obok tego, co nazajutrz stało się na wystawie, gdy hrabia przyszedł oświadczyć, że za obraz zapłacił trzysta talarów i procent kasztelanowi wyliczył obfity.

Niepokój ogarnął urzędnika, przeniósł się w godzin kilka do członków komitetu, popłynął z ust do ust na miasto.

Grupa ciekawych, coraz się zwiększająca, stała przez dzień cały u obrazu. Pokazywano go, rozpowiadano sobie historią jego — dziwiono się i wynajdowano dotąd niepostrzeżone zalety pendzla, kompozycji, kolorytu.

Zazdrości było niemało.

Tegoż dnia, siedząca wysoko na wschodkach panna Semmel, która ogromną kopią z Rubensa rozpoczynała, dowiedziawszy się o tym wypadku, omało ze swego rusztowania nie spadła.

Nie mogła uwierzyć. Skończyła prędzej niż dni innych robotę, pobiegła sama do kasztelana, sprawdziła wiadomość i poleciała z nią rozgorzała, utrzymując, że Anglik się musiał w Ludmile zakochać chyba.

Wiedziała to z doświadczenia lat swych młodszych, iż niekiedy wcale nieosobliwe kopie w pewnych warunkach bardzo się korzystnie spieniężały. Inaczej tych trzechset talarów za krajobraz wyłomaczyć sobie nie umiała.

Sitko nazajutrz, po nadludzkiem staraniach około podźwignięcia zruinowanego surduta, przyszedł do przekonania, że w nim na proszony obiad w żaden sposób stawić się niepodobna. Był więc zmuszony u tandeciarza pożyczyc przyodziewek czarny, wprawdzie cały, lecz noszący na sobie ślady przebytych losów, i niezupełnie przypadający do jego figury. Nie szło mu też o elegancją. Cieszyło go to, że surdut był cały i nieposzlakowaną, nową bawełnianą miał podszewkę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## O BOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg).

Wśród walki z żywiołami, najokrutniejszym sprzymierzeńcem zniszczenia jest dla żeglarza ciemność i łącząca się z nią niewiadomość, szczególnie w chwili zbliżania się do lądu, to jest w chwili najtrudniejszej i przez załomy brzegów, przez skały nadbrzeżne najeżonej największemi niebezpieczeństwami. Latarnie morskie z sygnałami swojemi są też dobrodziejstwem, ratującym życie tysięcy i Anglia zapragnęła mieć je wzdłuż brzegów swoich; przeciw wzniesienie każdej z nich jest połączone nie tylko z ogromnym trudem i wydatkiem sił ludzkich, ale zarazem z ogromnemi ofiarami i poświęceniem się tych, którzy je wznoszą. Pierwsza latarnia morska, zbudowana u południowych brzegów Anglii, była z drzewa, wzniesiona na mralej, o dwadzieścia mil od stałego lądu, wśród kanału Bristolskiego znajdującej się skały Smalls. Szalupa, należąca do królewskiej marynarki wojennej, wysadziła raz na nią oddział walijskich minerów, przeznaczonych do świdrowania skały z zamiarem, aby zapuścić w te otwory rury żelazne i następnie wbić w nie żelazne słupy. Ale za ledwie zaczęto pracować, wbijając w granit długą sztabę żelazną, wybuchnęła gwałtowna burza, szalupa musiała odpłynąć coprędzej, ratując się przed niewątpliwem rozbitciem, a nieszczęśliwi minerzy, zostali porzuceni, pod noc właśnie, jak łup dla wicherów i bałwanów, mogących co chwila zmieść ich ze skały i unieść na pełne morze. Uchwycono się rozpacznie ledwo-że zapuszczzonej w kamień sztaby i rozpoczęła się między rozłukanem morzem a ludźmi zacięta walka o śmierć lub życie. Trwała do rana, następnie przez dzień cały, aż znów zapadła ciemna noc i tak było do trzeciego rana, które nareszcie przyniosło pogodę i pozwoliło statkowi wybawiającemu biedaków, przybić do skały. Przecięt dzielni ludzie nie porzucili rozpoczętej pracy; obronne oparcia żelaznych zagród, żelazne pierścienie, zdolne utrzymać człowieka, na którego biją wichry, którego chcą porwać ryczące fale, umocowano coprędzej i ostatecznie stanął budynek drewniany, zamieszkał w nim człowiek, i światło, ostrzegające o niebezpieczeństwie, rzuciło w łono ciemności i burz swój ponury, ale zbawczy blask przez sto lat blisko, aż z kolei dźwignięto tu wieżycę granitową, która — mówiąc językiem ludzkim — ma pozostać wiecznotrwałą.

Dłuższą jest historia światła, połyskującego daleko już na morzu z grupy skał, stanowiących

wprost cieśniny Plymouth wysepkę Eddystone, i okres zapasów człowieka z samowładztwem natury nie został tu jeszcze zamknięty. Dwie drewniane latarnie zostały pokolei zniszczone, jedną w 1703 roku zmiotła burza, drugą pochłonął ogień, aż budowniczy trzeciej, Smeaton, postanowił, aby była z kamienia, jakkolwiek utrzymymano, że na Eddystone jedynie budynek drewniany ustać może. Ostrzegającymi byli Trynitarze, którzy zapewne pełnili gdzieś na tem wybrzeżu, podobnie miłosierne, jak u nas, dzieło wykupywania więźniów, ale Smiles nie podaje tego szczegółu, znanego niewątpliwie Anglikom, zaznacza tylko, że Smeaton nie uwierzył przestrodze i przystąpił osobiście do badania gruntu. Morze pięć razy przystąpiło mu tu nie dało i raz tylko zdołał zobaczyć zdaleka, że po dawnych budynkach pozostały zapuszczone w kamień rury żelazne, przeciw za szóstym razem przy małej wodzie wylądował, zdjął plan skały, ale w powrocie statek jego, *Nep-tun*, został porwany przez fale, burza miotła nim po morzu przez dni cztery, zanim zdołał zarzucić kotwicę w Plymouth Sound. Budowanie gmachu latarni było podobnie jednym długim ciągiem walk z żywiołami i niebezpieczeństw coraz to innych; on też przebywał tu wciąż osobiście, znajdował się codziennie na miejscu robót, na „stanowisku honorowym“ przedsięwzięcia, jak się wyrażał, a było ono takim, że raz, spadłszy między skały, wybił w prawej ręce duży palec, aby przeciw naciągnąć go sam sobie natychmiast i położyć w tej samej chwili właśnie węgielny kamień pod budowę, którą pragnął uczynić taką, „aby nie ograniczała się w istnieniu swoim do jednego lub dwóch wieków, ale przeznaczoną była do możliwej wieczności“.

I opierała się też sto dwadzieścia lat burzom i wichrom nie drgnawszy, a jednak — o biada planom i nadziejom ludzkim! musi zostać zniszczoną i ustąpić miejsca innej, choć jest mocną jak skała, a raczej od skały mocniejszą, bo to nie ona ulega zniszczeniu przez jakikolwiek rozkład w sobie, ale morze podmyło jej kamienną podstawę — jej grunt.

Budować się zatem musi nowa wieża strażnicza na Eddystone. Fundamenta jej zostały położone w 1879 roku, a wzniesienie tego gmachu wymaga niemięjszej wytrwałości, mężstwa i odwagi osobistej ze strony budowniczego i orszaku robotników, niż przy pracy poprzedniej. Choć i tu może żywioły zwyciężą znowu, choć może nie potrafi opierać im się długo dzieło rąk ludzkich, jednak człowiek stoi tu jako zwycięzca, bo obok każdej ruiny stawia budowę nową i przez tę niezwykłą wytrwałość pracy staje się ostatecznie niezwykłym.

Do najsmielszych przedsięwzięć naszego czasu zalicza Smiles wzniesienie latarni morskiej na Skerryvore-Reef, ostrej rafie, sterczącej wśród bałwanów pełnego już morza naprzeciw wysepki Tyree u zachodnich brzegów Szkocji. Było to miejsce zagłady dla okrętów, rzuconych tu przez burze wśród ciemności nocnych; woda wyrzucała nieustannie na brzegi szczątki ich zdruzgotane; postanowiono też, nie zważając na koszt, trudy i niebezpieczeństwa z jakimi się to łączyło, wnieść latarnię, ostrzegającą żeglarza o zasadzce, którą natura obwarowała tu przystęp do ziemi. Samo zdjęcie planu i zbadanie miejsca, już było pracą długą i ciężką. Dokonano tego w roku 1835, następna przeciw robota: zbudowanie tymczasowego pomieszczenia dla pracujących trwało prawie lat pięć. Woda znosiła roboty, których czas był ograniczonym: pora burz i wichrów, rozpoczynała się wczesną jesienią, gdy przeciw wracano na miejsce z późną wiosną następnego roku, znajdowano niemal wszystko zburzonym. Lecz ta trocha, która pozostała, była już nabytkiem; rok następny przydawał znów coś do tego i w taki sposób w 1840 r. stanęło pomieszczenie: „a barrack“, w którym inżynier-budowniczy mógł osiedlić się z robotnikami. Zaraz w pierwszym miesiącu woda zalała dokoła ich dom samotny; przez 14 dni mieszkańcy Skerryvore-Reef odcięci byli od świata, bo nawet od parowca swego, który stał przy brzegu i jak oko dojrzed mogło, rozciągały się wkoło nich przestwory białej piany, a ucho słyszało jedynie ryk wichru i taki huk bałwanów, że mówiący słyszeć się wzajem

nie mogli. Nie dodawał odwagi widok szczątków poprzednio wzniesionego i zgruchotanego przez morze domu, który wznosił się o dwadzieścia jardów, czyli trzystopowych łokci angielskich od zamieszkiwanego obecnie. Raz wśród nocy morze uderzyło o ściany domu z taką siłą, że odzienie inżyniera, który opis tego zostawił, spadło z wieszadła, będącego na ścianie i krzyk ogólny obwieścił, że woda uniosła dom i unosi go ze sobą. Do tego zaczęło już brakować obłożonym żywności; przeciw gdy burza minęła i wody opadły, nie porzucono skały; z ogromnych głazów wznoszone ściany dzwignęły się i po sześciu latach tytanicznych wysiłków, dnia 1 Lutego 1846 roku zbawcze światło zabłysnęło u zachodnich brzegów Szkocji.

Ale wiadomość niebezpieczeństwa niezawsze może ratować od niego. Najwięcej statków rozbija się w pobliżu brzegów, a jak angielska *Karta rozbić* „Wreck cart“ dowodzi, najniebezpieczniejszą pod tym względem stroną Wielkiej Brytanii są brzegi jej wschodnie, szczególnie północno-wschód Anglii, a osobliwie w miejscu, które zaznacza ujście rzeki Tyne. W tamtych też stronach powstała pierwsza myśl łodzi ratunkowej; wynalazcą jej był Henryk Greathead z South Shields, podług jego planu i rysunku wykonał takową w Londynie Henryk Lullin, lecz był to dopiero początek dzieła, które udoskonalił Wiliam Wouldhave i model jego pierwszej łodzi zawieszony jest w South Shields w kościele św. Hildy, aby przypomnienie dobroczynnego dla ludzkości wynalazku, budziło w późnych pokoleniach wdzięczną pamięć tego, który przysłużył się nim ludzkości. Chwała ta należy się rzeczywiście Henrykowi Greathead; ale zawsze tak bywa, że nie bierze jej pierwszy i prawdziwy twórca: ten, który rzecz dobrą lub wielką wyprowadził z myśli swojej, stworzył z niczego jak Bóg świat, ale ktoś inny, co przyjdzie ponim i doda coś, czego brakowało tu jeszcze, i odda ludziom wynalazek dla praktycznego zeń użytku. Praktyczny użytek... to właśnie czego pożądanego i za co też potem ludzkość się wypłaca. Może jest w tem słuszność? Nie wiem co o tem mniema Smiles, ale mnie smutno jest pomyśleć, że kiedy pisze w dodatku o pomniku wzniesionym także Wiliamowi Wouldhave na cmentarzu w South Shields, nie czyni wzmianki żadnej, czy jakakolwiek pamiątka poświęcona została czci Greathead'a.

Zawsze tak bywa — powtarzam — w całej historii ludzkości i dziejach pojedynczych żywotów. Ołtarz Boga, do którego już się nie modlimy, miłość, która już nam się przeżyła w sercu i nie przynosi więcej użytku wrażeń rozkosznych — wszystko to zostawia się poza sobą bez litości, nawet bez żalu, a przeciwnie budzi to prawie nienawiść, że tam gdzieś w tyle jest coś, co przypomniane znienacka przez zbieg wrażeń, przez jakiś jęk wiatru w powietrzu, może drasnąć nas po sercu — przykrość nam zrobić.

Łódź ratunkowa Greathead'a z udoskonaleniem Wouldhave'a wróciła, wydarłszy morzu u ujścia Tyny, dwieście żyć ludzkich. Książę Northumberland kazał zbudować drugą i zapewnił wieczysty fundusz na jej utrzymanie. Trzecia, także kosztem księcia, została przesłana do Oporto. Odtąd liczba łodzi ratunkowych mnożyła się i w przeciągu roku od 1802 — 1803 zbudowano ich trzydzieści jeden: pięć dla Szkocji, ośmnaście dla Anglii, ośm dla zagranicy. Najstarsza, zbudowana przez Greathead'a w 1802 roku, jest dotąd czynna w miejscowości Redcar wśród skał dziko jeżących się u wybrzeża. Dziś Stowarzyszenie łodzi ratunkowych (Lifeboat Society) jest w Anglii i Szkocji instytucją narodową i w połączeniu z moździerzowym przyrzędem kapitana Manby (Mortar apparatus) ocala rok rocznie setki ludzi. Obecnie ratunkowa flotylla Wielkiej Brytanii liczy 300 łodzi z załogą 25,000 ludzi, z których każdy jest bohaterem. Jestto legion poświęconych; od czasu jak stowarzyszenie ratunkowe istnieje, wyratowano 27,000 tonających, i opisy malujące te czyny odwagi i ofiar-niczego mężstwa nużyłyby przez jednostajność poświęcenia. Łódź *Van Kook*, ufundowana w 1865 w miejscowości Deal przez E. W. Cooke, ocaliła 161 ludzi i towarzyszyła wśród walki z morzem

siedmiu okrętom, broniącym się wśród burz od rozbicia. Dnia 28 grudnia 1879 strzał armatni rozległ się ze statku straży portowej od ławic piaszczystych Goodwin, oddalonych o siedm mil od Deal, a dający znać, że okręt jakiś jest w niebezpieczeństwie, niesiony przez bałwany na skały wybrzeża. Było to o godzinie pierwszej z południa, i miejscowi parafianie wychodzili właśnie z kościoła, a wicher zaczął dąć tak, że według wyrażenia żeglarzy stron tamtych, mógł „wpakować ludziom wszystkie zęby w gardło“ i zrobił się też popłoch. Uciekano do domów, wiatr porwał uciekającym parasole i kapelusze z głowy, przeciw dzwon zwoływający załogę łodzi ratunkowej uderzył i wszyscy stawili się na apel: czteremastu mężczyzn z rotmanem Robertem Wilds na czele. Spuszczono łódź na spienione, ryczące, ciskające się morze; ludność męzka, zgromadzona w tej chwili na wybrzeżu, posłała za odpływającymi salwę okrzyku, jakim się żegna wojowników, rycerzy rzucających się w ogień bojowy za sprawę świętą, a zdarzyło się, że fundator łodzi, Cooke, leżał śmiertelnie chory i powiadano sobie, że konał. Jeżeli obciążał mu sumienie jaki grzech utrudniający przeprawę z życia do wieczności, to Bóg zdejmie go zeń w tej chwili — mówiono. Dobry jego uczynek miłości bliźniego stanie mu przy łożu jak anioł stróż i przemawiać będzie za nim do Boga.

Tymczasem łódź ratunkowa ujrzała u ławic Goodwin-Sands trzy okręty walczące z bałwanami. Osada jednego wsiadła już na łódź, porzucając okręt, przeznaczony na zgubę; drugi, zdaje się hollenderski, zapadł się w wodę przed oczyma śpieszących mu na ratunek i cała osada poszła na dno bez wieści; trzeci, niemiecki okręt *Leda*, powracający z Ameryki do Bremen, statek ogromny z ładunkiem niezliczonych kuf nafty, jeszcze walczył, tak miotany przez bałwany, że dostanie się do niego już było czynem bohaterstwa, a raczej połączeniem nieustannie powtarzających się czynów bohaterstwa, bo odwagi połączonej z najszlachetniejszą pogardą śmierci, która co moment zaglądała w oczy męszni. Dokonano jednego dziel-nego aktu poświęcenia, uratowano trzydziestu czterech żeglarzy z osady niemieckiej, przewieziono szczęśliwie do Deal, gdzie ludność niespokojna o los załogi łodzi, czekała z bijącym sercem. Nawet życie uchodzące zatrzymało się siłą współczującego wzruszenia: fundator łodzi czekał z innymi i nie dał się przed rozwiązaniem tragedii wziąć śmierci; żył jeszcze potem dni ośm i uniósł ze sobą w zaświat pociechę, radość, jedyną, jaka aż tam towarzyszyć może duchowi ludzkiemu.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## IRLANDYA

### RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł).

(Dalszy ciąg, ob. Nr 11).

Cheąc, aby katolicy nie mieli sposobu działania bezpośrednio ani pośrednio przeciwko tym prawom i ich wykonywaniu, wyłączone ich, nietylko od parlamentu, ale i od wyborów, jakoteż od wszelkich urzędów sądowych, administracyjnych i wojskowych, tak w armii lądowej, jak i w marynarce. Adwokatura została także dla katolików zamkniętą.

Pozostały im więc tylko handel, rzemiosła i rola. Ale i tu prawo ogłosiło, że żaden katolik nie może nabywać własności ziemskiej; dzierżawę zaś może brać, nie na dłużej tylko na lat 31 — termin na Irlandyą bardzo wówczas krótki, dla dzikiego prawie stanu gruntu. Ażaby zaś i z takiej dzierżawy zbyt wiele się katolicy nie wzbogacali, postanowiono, iż cena dzierżawna powinna wynosić przynajmniej dwie trzecie dochodu ziemskiego. Wyznaczono nagrody za denuncjowanie niższych cen dzierżawnych.

Co się zaś tycze handlu i przemysłu, te były w Irlandyi prawie żadne, dzięki angielskiej protekcyi; wszelako przedsięwzięto stosowne środki aby i ten zawód, ponieważ go nie można całkiem zamknąć, oile możności katolikom utrudnić.

Widzieliśmy poprzednio jak przemysł i handel stały się wyłącznym przywilejem korporacji miejskich; jak z tych korporacji wyłączeni byli przed Reformacją Irlandczycy, a po Reformacji wszyscy katolicy bez względu na pochodzenie. Tak tedy katolik, chcący się oddawać przemysłowi czy rzemiosłu, zależał od nieprzyjaznej mu korporacji, w której ręką była nietylko władza czynienia wszelkich urządzeń co do przemysłu, ale nadto i zarząd miasta.

Katolik ponosił wszelkie ciężary, wszelkie opłaty, niemając nigdy nadziei uczestnictwa w muni-cypalnych przywilejach. Obok tego niektóre rzemiosła, jak puszkarstwo i robienie broni siecznej, były mu zabronione, równie jak i handlowanie prochem. Pozostawała więc praca wyrobnicza; ale tu znowu, ponieważ taka praca odbywała się na korzyść protestantów, innego był rodzaju ucisk; bo ustanowiono kary na wyrobnika, któryby się wzbraniał pracować w dzień świąteczny przez protestancki obrządek nieprzyjęty.

Nareszcie, ażeby w tak nawet ograniczonym zawodzie przemysłu i rzemiosł nie mogli katolicy szczęściem jakim dojść do wielkiej pomysłności, zabroniono majstrowi mieć więcej nad dwóch uczniów. Nie pozwolono też katolikom lokować swych pieniędzy na hipotece ziemskiej, ani nawet na zbyt wykwinne życie tych pieniędzy obracać; bo im zakazano trzymać na swój użytek koni droższych nad 5 f. s. Każdy protestant miał prawo droższego konia katolikowi odebrać, dając mu natomiast innego wartości wyżej oznaczonej. Ale niedosyć na tem, że trudno było katolikom nabywać i nabytego używać: nie było żadnej gwarancji własności, żadnej pewności jej nienaruszonego posiadania, kiedy katolik, nie mając najmniejszego udziału w prawodawstwie, był pod względem ciężarów publicznych na łasce swoich zapamiętałych tyranów. Potrzeba urządzić milicyą: wszystkie konie katolików bez różnicy wartości są rekwirowane; wszystkie koszta uzbrojenia na katolikach mają ciężać; popełniają się w hrabstwie wielkie kradzieże lub pożogi, a nie można winnych wyśledzić, nakłada się kontrybucya na katolików całego hrabstwa dla wynagrodzenia poszkodowanych protestantów. Parafia też nakłada na katolików taxy na budowę, naprawy i inne potrzeby protestanckich kościołów, do których oni nigdy nie uczęszczają; w miastach czyni toż samo korporacya, do której oni nie należą.

Osobne też były wydane rozporządzenia co do katolików o spadkach i innem przechodzeniu własności. I tak, prawo starszeństwa nie mogło mieć miejsca dla katolików, lecz powinien być równy dział następować. Katolik nie miał prawa dziedziczenia po protestancie, ani przyjmowania żadnych darowizn lub zapisów. Związki małżeńskie między katolikami i protestantami najsurowiej zabronione. Opiekę nad dziećmi zmarłego katolika mógł sprawować tylko protestant. Jeżeli sam ojciec przed śmiercią opiekuna protestanta nie wybrał, wyznaczano go z urzędu. Nakoniec postanowiło prawo, że skoro który z synów katolika stanie się protestantem, w takim razie, jeżeli jest starszy, dziedziczy po ojcu wszystko z wyłączeniem innych dzieci według praw angielskich, i ojciec w takim razie nie może ani testamentem, ani żadnem rozporządzeniem za życia tego prawa go pozbawiać. Jeżeli to był który z młodszych synów, to miał sobie tylko zapewnioną część pewną z majątku, której oznaczenie od Kanclerza Irlandyi zależało.

Takie były w treści swojej owe prawa *karne*, którym katolicka Irlandya ulegała. Można się dorozumieć, że nie na nich kończył się ucisk; nie-trudno sobie wyobrazić innego rodzaju tyranją, poniżenie, wzgardę, zniewagi i krzywdy poza sferą praw i ich zastosowania będące, na jakie byli w takim położeniu biedni katolicy codziennie wystawieni.

Trzeba atoli zrobić tu uwagę, że nie wszystkie z tych praw przesładowczych były z równą ści-

ślnością wykonywane. Religijne namiętności uci-chały; protestantom irlandzkim więcej chodziło o odarcie katolików z praw politycznych i cywilnych, aniżeli o przesładowanie ich religii. To też wszystkie przepisy, mające na celu wyłączenie katolików od udziału w stanowieniu praw i ich wykonywaniu, pozbawienie ich wolności handlu i przemysłu, poniżenie ich w społeczności cywilnej — były stosowane bez przerwy i bez ulżenia. Ale zato ustawy przesładowujące religią, jej obrządki i jej kapłanów, były powiększej części prawie w zawieszeniu i tylko niekiedy, bardziej z natchnienia Anglii, lub z powodu jakich okoliczności zewnętrznych, wznawiano ich ściśle wykonanie i to nie nadługo.

4. Słowem: tyrania religijna zwolniła zczasem i stała się przynajmniej znośną; zato ucieszenie społeczne coraz-to sroższem się stawało; tak, iż musiało nareszcie opór wywołać.

Opór ten nie był ani powszechny, ani systematycznie według planu jakowegoś działający. Były to owszem zamachy pojedyncze, bez związku i ogólnego celu dokonywane; takie, jednym słowem, jakich można było od ludu do głębokiej ciemnoty przywiedzionego oczekiwać.

Około r. 1760 wybuchły pierwsze powstania tak nazwanych *dzieci białych* od białych koszul, jakie kładli na wierzch swej odzieży. Z mnóstwa przyczyn, które w oplakanem położeniu ludności katolickiej mogły ją do czynów zemsty pobudzić, dwa były główne powody porwania się Dzieci Białych czyli *Whiteboys*:

1-mo wysokie ceny dzierżawne wymagane od rolników przez właścicieli; 2-do ucisk ze strony protestanckiego duchowieństwa, któremu katolicy musieli płacić dziesięcinę.

Wszystkie poruszenia *Whiteboyów* miały na celu zemszczenie się lub rzucenie postrachu. nacechowane zaś były gwałtownością i okrucieństwem, do jakich zdolny jest lud gruby, niewolą znękany. Były to mordercy i gwałty popełniane na osobach właścicieli, księży protestanckich, poborców podatków i dziesięcin, wiesniaków podbijających ceny dzierżawne, na osobach ich żon i dzieci; pożogi i niszczenie ich mieszkań i ich pól, zabijanie ich bydła i t. d. Jakkolwiek nie mogło być między takimi ludźmi ogólnych zamiarów i jedności planu, zdołali oni wszakże uorganizować po całym kraju rodzaj stowarzyszenia, którego członkowie obowiązali się zachować tajemnicę, i ślepo wykonywać wszelkie dane im polecenia. Stowarzyszenie to ogłaszało przez podrzucane pisma swoje postanowienia, które albo zakazywały płacić dzierżawę wyższą nad pewną oznaczoną ilość, albo zabraniały wyrobnikom pracować w tej a w tej rękodzielni za niską cenę, albo nie pozwalały pod karą śmierci płacić dziesięciny, albo groziły śmiercią właścicielowi, jeżeli się ośmielił ceny dzierżawne podwyższyć i t. d. W razie nieposłuszeństwa następowało niezawodne wykonanie kary.

W razie schwywania *Whiteboya* i wytoczenia mu procesu stowarzyszenie podwajało swą gorliwość. Straszliwe kary były ogłaszane przeciwko każdemu, ktoby się ośmielił stawać w sądzie jako świadek przeciwko oskarżonemu; i nie-rzad się zdarzało, że teje nocy po pierwszym zeznaniu świadek był zamordowany. Potrzeba było nieraz ogłaszać znaczne wynagrodzenia dla znalezienia świadków, i przedsiębrać środki dla zabezpieczenia ich osób i ich rodzin od zemsty *Whiteboyów*, a po skończeniu sprawy dać im możność opuszczenia kraju, w którym życie ich było co chwila narażone.

Duchowieństwo katolickie nie miało żadnego udziału w powstaniach *Whiteboyów*. Zresztą podobne tym powstania miały miejsce i w Irlandyi północnej między rolnikami protestantami zupełnie z tych samych powodów; przybierały tylko inne nazwiska.

(Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Marcu 1881 r.

Z początkiem Marca rokrocznie walne zebrania przeróżnych towarzystw ujawniają nam skromną lecz czynną ich zabiegliwość we wszystkich kierunkach. Doznaliśmy takiego wrażenia, takiej pociechy w tym mianowicie roku. Po zupełnie chybnym karnawale młodzież nasza i obywatelstwo, prawie nieobecni podczas krótkich zapust, na które nie mieli snadź ani czasu ani ochoty zjechać tłumnie do stolicy, stawili się liczenie i chętnie, gdy szło o sprawy publicznego interesu i obowiązku. Z kolei następowały po sobie sprawozdania, obrady i sessye Towarzystwa Pomocy Naukowej, Banku Włościańskiego, Towarzystwa Centralnego Gospodarczego i t. d. Pierwsze, niebywałą u Polaków wytrwałością, dopełniło już czwartego krzyżyka swego istnienia i dobroczynnej działalności. Fundasze rosły w pełnej ofiarności dzielnicy naszej, mnożą się zapisy, legata, jednorazowe datki, stypendya, oprócz swykłych obowiązujących składek. Dochody i w tym roku nie zawiodły, chociaż były obawy, aby przesilenie stosunków materialnych nie zaważyło szkodliwie na szali dobroczynności. Do stu stypendystów odbiera obecnie zapomogę od Towarzystwa, kształcąc się w przeróżnych kierunkach. Ale im bardziej zwiększa się działalność rzeczony instytucji, tem większem smutkiem napełniają losy młodzieży wychowywanej jej kosztem. Nieprzychylny warunki zamykają coraz-to więcej zawodów naszym ziomkom, zniewolonym w najlepszym razie do pracy na cudzej niwie, bo w rodzinnych stronach chyba wyjątkowo urząd zdobyć sobie potrafią. Niegdyś Towarzystwo Pomocy Naukowej sposobilo też rokrocznie liczny zastęp młodych ludzi pragnących się poświęcić służbom ołtarzy. Z zamknięciem seminariów i naprężeniem stosunków polityczno-kościelnych, coraz mniej ochotników do świętego, a tak dziś utrudnionego materialnie i moralnie, zawodu. Pod tym więc względem: ciemnej przyszłości wychowanców Towarzystwa, smutek napełnia duszę, ale wnet ją rozjaśnia dobroczynność chwili obecnej i działanie niespożyte jednego wielkiego serca, które już dawno spoczęło w mogile, a jednak nie przestaje dotąd ożywiać założonej przez się instytucji.

Towarzystwo centralne gospodarskie obradowało przez parę dni i potrafiło o wszystkie niemal główne kwestye rolnicze i społeczne chwili obecnej. Że walka o byt jest u nas rozpaczliwszą niż gdziekolwiek, z powodu spółzawodnictwa obcego, napływowego a niechętnego żywiołu, o tem rozpisywać się nie potrzeba. Pracą tylko utrzymać i zachować możemy bardzo zagrożone posterunki. Rodzima zaś, sławiańska miękkość, lenistwo, brak przemyślności i rzutkości, bardziej jeszcze aniżeli brak funduszy, przyprawiają nas najczęściej o przegraną w tej nierównej walce. Zapewne: Niemcy rozporządzają większym kredytem, silniejsze mają za sobą plecy, ale nad te materialne ułatwienia, posiadają plemienne zalety skrzętej oszczędności, pracy bez wytchnienia, nareszcie usposobienie przedsiębiorcze, śmiałość postanowienia, wytrwałość w przeprowadzaniu swych zamiarów. Wysła teraz księga gruntowa naszej dzielnicy, z wyszczególnieniem właścicieli, rządów, rozległości dóbr i głównych, na każdym miejscu, środków dochodu. Doprawdy: czarna-to księga naszych stosunków, bo pominąwszy już olbrzymią liczbę niemieckich właścicieli, widzimy niemal u każdego inną fabrykę, cegielnię, mączkarnią, gorzelnię parową, cukrownią i t. p. W polskich majątkach nierównie rzadszy przemysł tego rodzaju; a że przyszłość rolnictwa zależy od rozwoju przemysłu rolnego, słusznie więc boleść ogarnia każde serce polskie. Znany n. p. pewnego niemieckiego dorobkowicza, którego olbrzymie dochody płyną głównie ze sprzedaży produktów rolnych w drugim stopniu. Gdy wszy-

scy wokoło sprzedają ziarno, on handluje mąką z własnego parowego młyna. Inni odstawią pachciarzom mleko: on dopiero masło na targ berliński dostarcza. Sąsiedzi z pola sprzedają kartofle: on pędzi spirytus. I tak w każdej gałęzi gospodarstwa, w każdej dziedzinie produktów rolnych, których się dopiero pozbywa w formie udoskonalonej, przetrawionej i przerobionej fabrycznie, zachowując sobie wszelkie odpadki i wywary dla uszlachetnienia własnego inwentarza i gleby.

W tej myśli powstają na ziemi naszej coraz-to liczniejsze cukrownie, głównie za pomocą spółek akcyjnych, zawiązujących się ochotnie w różnych stronach — na tę wieść zachęcającą, iż cukrownia kujawska dawała w pierwszych latach do 90 od sta swym akcyonaryuszom. W tej chwili podobne fabryki mają się wzniesić nad Gopłem, w Kościanie, Wschowie, Środzie i t. d. Jedną z rzetelnych korzyści tych przedsięwzięć będzie zapewne uregulowanie środków komunikacji, bardzo jeszcze zacofanych, zwłaszcza pod względem nielicznych dróg żelaznych.

Ale ta wycieczka ekonomiczna oddaliła mnie od osnowy rozpraw Towarzystwa Gospodarskiego. Potracono w nich i o sprawę budzącą dziś powszechną obawę i niepokój: o tę emigrację ludu naszego do Ameryki, która z wiosną przybrała tem groźniejsze rozmiary, iż listy poprzednich wychodźców nawołują pozostałych do wędrowania w ich ślady za morze, malując dosadnie wcale świetne swe położenie i dochody. Na te wezwania setki rodzin wyprzedają się hurtownie, aby spieszyć do Ameryki, z niepowetowaną szkodą naszej dzielnicy, obwarowanej głównie poczciwym ludem od zdobyczy niemieckiego ducha i pluga. Co dalej będzie: przewidzieć trudno. Tyle pewnego, że głównie plebani mogą powstrzymać prąd tak niebezpieczny. Zkądinąd zaś wpływy dworu, kółka włościańskie i tym podobne środki jedynie położony zdołają tamę rosnącemu zlemu.

Mieliśmy też sposobność do poznania działalności kółek rolniczych, z okazji ich walnego zebrania. Kółek tych istnieje już do 130, a doprawdy powiedzieć można o nich ewangeliczne słowo: że po owocach swych poznać i ocenić się dają. Dość było przeczytać protokół z ostatniego zebrania, spisany przez prostego włościanina, aby się przekonać, jak u nas lud rzecz rozumie, jak poprawnie piszą wieśniacy, jak sumiennie umieją dany opracować przedmiot. Następnie dwudziestokilkuletni chłopak, syn włościanina Ciepłuchy, zpod Kórnik, wygłosił referat: Jak należy wychowywać i kształcić synów gospodarskich? Sama jego powierzchowność i strój skłaniały ku niemu ogólną życzliwość. Ubrany był w staropolską odzież, noszoną przez włościan w okolicach Kórnik, zupan ujęty pasem, na nim suta sukmana, szarawary w butach, kołnierzyk od koszuli ujęty czerwona wstążeczką. Referat zachęcał do oświaty, do uczęszczania do szkółek elementarnych i rolniczych, zalecał kształcenie się w postępowych gospodarstwach u panów i dziedziców i t. d. Wszyscy słuchacze odnieśli ztąd jaknajprzyjemniejsze wrażenie i winszowali młodemu mówcy, który tak śmiało, jasno a serdecznie odzywał się wobec liczego zgromadzenia.

Wśród mnogich dowodów błęgiego wpływu kółek rolniczych na włościan naszych, wykazano coraz racjonalniejsze u nich gospodarstwo, używanie nawet sztucznych nawozów, postępowe chodzenie około roli, chętnie zabezpieczanie się od ognia i gradu: słowem, liczne objawy rosnącej kultury. Kółka rozkrzewiają się też ślicznie z korzyścią dla gospodarstwa narodowego dziedzinie po kruswickim kołodzieju zamilowanie pasiek, miodu złotego i pszczółek pracowitych. Za przykładem kilku plebanów, przodujących rozumną pracą na tem polu, lud nasz garnie się do rodzimej gałęzi przemysłu, kształcąc się na najlepszych wzorach i przykładach.

Z radością powitaliśmy myśl rzuconą w Toruniu: aby urządzić wystawę domowego u nas przemysłu. Zapewne, nie będzie ona tak oryginalną i różnorodną jak wystawa etnograficzna w Kołomyi, o której tyle i tak ładnie pisano. Straciliśmy cechy rodzime, starte ciągłym stosunkiem

z oświatą niemiecką, a zkądinąd plemię rolnicze, tak samo w niższych jak wyższych warstwach, nie odznacza się przemysłowością. Niemniej znajdzie się pewno dosyć ciekawego i cennego plonu, żeby tylko wspomnieć jaskrawe kórnickie *pstruchy*, tkaninę wełnianą niesłychanej trwałości, jednostajnie ubarwioną w pasy ciemno-szafirowe i ponsowe, które służą wieśniaczkom za okrycia, a mogą być używane jak najpiękniejsze materje zagraniczne na pokrycia mebli, na firanki i portiery. Widzieliśmy pstruchy kórnickie w tem zastosowaniu, ozdabiające kilka z najprzedniejszych u nas pałaców, i twierdzić możemy bez żadnej słabości i zaślepienia dla rzeczy rodzimych, iż z dobią one nierównie lepiej aniżeli utrechckie aksamity, francuzkie mokiety, lub alzackie kretony. Niestety! zbyt o nie łatwo, zbyt blisko, aby miały się upowszechnić i zwyciężyć, brzydsze stokroć, ale przepłacane i sprowadzane zdaleka, tkaniny.

Pono żadnego listu do was wyprawić nie mogę, aby w nim nie potrafić o działalność Towarzystwa Przyjaciół Nauk, o wygłoszone w jego kole odczyty. I tym razem niepodobna mi uchylić się od tego zwyczaju, tembardziej, iż posiedzenia Wydziału Historycznego szybko po sobie następowały, coraz-to ciekawsze poruszając przedmioty. Rzecz o dawnych granicach Wielkopolski na osobną zasługuje wzmiankę: opracował ją pułkownik Ignacy Zakrzewski, znany i zasłużony wydawca *Kodexu Wielkopolskiego*.

W przeszłych rapsodach o Chrobrym królu, którymi niedawno Deotyła Kraków zachwycala, już duch Wandy nawołuje Bolesława, aby oręż podniósł przeciw Germanom. Prelekcya p. Zakrzewskiego odsłania nam w dalekiej już przeszłości tenże sam *Drang nach Osten*, to samo worywanie się w naszą ziemię, które nas dziś przeraża. Kopce nasze graniczne sięgały nierównie dalej, aniżeli je późniejsze dokumenta opisały. Lech razporaz odganiał teutońskie napaści, ale gdy wracał do nieczynności, gdy „Lech spał“, nie wyzyskując odniesionego zwycięstwa, wracało i wiecznie głodne plemię sąsiedzkie, aby urwać nowy kawał polskiej ziemi. Systemat do Lecha był identycznie podobny do tego, który podziśdzien germanizuje nasze strony. Rycerz niemiecki zaczął od przechrzczenia zdobytej wioski własnym mianem, budował „fortalitium“, zkąd rozszerzał na całą okolicę swe grabieże i gwałty. Cokolwiek bądź, granice musiały być zaraz w pierwszych wiekach naszej historyi ściśle oznaczone. Jak dalece nie przebierano w środkach, kiedy przyszło walczyć o kopce graniczne, wystarczy przypomnieć zamordowanie porwanego z Rogoźna Przemysława, którego włócznią przybito do ziemi, gdy ranny zsunął się z konia. Dokumenta kościelne najwięcej przysparzają światła w sprawie rozpoznania dawnych granic. Według p. Zakrzewskiego sięgały one pierwotnie, pasem sześciomilowym, poza Odrę. Na północ granice biskupstwa Kamieńskiego i Kołobrzecznego, stanowiły kraniec pograniczny, na wschód Kujawy, ziemia Łęczyska i Sieradzka; na południe zaś Szląsk, o szerzyszych zdaje się niż później granicach. Odczyt ten, pełen żywego interesu, wywołał ciekawą dyskusyę między członkami uczonego grona. Jeden z nich wspominał prastary dokument z XIII wieku, opisujący już szczegółowo sposób oznaczania granic. Nie utrwały się więc one tradycją tylko, ale opierały się na ściśle oznaczonych wskazówkach.

Podczas gdy p. Zakrzewski cofał nas w głęboki pomrok dziejowy, zapalając w nim lampę umiejętności, rozpędzając cienie, inny członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, historyk Epoki Saskiej, poprowadził nas za sobą, aby nam raz jeszcze odmalować obraz sporów między Augustem II a Karolem XII. Nie dziw, że przedłużały się one bez końca i miary: powód przeciągającej się wojny leżał w samym charakterze spółzawodników, w niedoleżtwie Augusta, w awanturycznej rzutkości Karola. Ani jeden ani drugi nie umiał korzystać z odniesionych zwycięstw. Prelegent z niesłychanym opisał życiem bitwę pod Pońcem, gdzie legło mnóstwo Szwedów, rzucających się za swym monarchą pięciokrotnie na opłotki wsi Januszewo, w której się usadowili Sasi. Osłabienie swego wroga umiał August II w dyplomacycz-

nych swych rokowaniach wyzyskać, ale tylko chwilowo, bo wnet karnawał drezdeński, jarmark w Lipsku i miłość hr. Cosel wyłączyły go zaprzętęły. Zimę tę (1704—1705 r.) spędził Karol XII ze swem wojskiem w Rawiczu, podczas gdy Leszczyński osiadł w pobliżu spzymierzeńca swego, na zamku Rydzynskim — dziś własność książąt Sułkowskich. Moment ten dziejowy, związany z tytułami nazwiskami i miejscowościami dobrze nam znanymi, podwójnie nas obchodzi, a uchwycony został ze zwykłym talentem i znajomością dziejów, przez znakomitego badacza tej epoki, któremu chyba tylko pewną systematyczną niechęć dla Kościoła, odejmującą mu pożądaną u historyków bezstronność, zarzucić można — w rosnącym ciągle zastępie prac nad przeszłością polską.

## NOWINY PARYZKIE.

Wiktora Hugo i obchód 80-letniej rocznicy urodzin jego. — Inicyatywa Towarzystwa Literackiego Międzynarodowego. — Piękny podarek dla poety. — Polacy na czele. — Odpowiedź pełna prostoty sędziwego wieszca. — Odczyty o literaturze polskiej w sali posiedzeń tego stowarzyszenia w Paryżu. — Dzieło anatomiczne Dra Witkowskiego, po francuzku napisane. — Kwestye dotyczące oświecenia publicznego we Francji. — Szkoły początkowe dla nauczycieli i nauczycielek wiejskich. — Nowy programmat naukowy. — Dekret prezydenta Rzeczypospolitej i instrukcje ministerjalne. — Zbyt wielka obszerność programmatu i jakie w nim miejsce zajmuje nauka religii? — Nowe książki. — Książka rozumnego człowieka *Zielonym atramentem*. — Zoli: *Naturalizm w teatrze; teoria i przykłady*. — Vast-Ricouarda *La haute Pègre*. — Teatr i cenzura. — Sztuka zabroniona. — Pojedynek autora z synem bohatera dramatu. — Jeszcze reklama. — Bornier i jego przyszły dramat *Apostof*.

Paryż, w Lutym 1881 r.

(Dokończenie)

Idźmy dalej za programmatem urzędowym. Rozdział o *Moralności praktycznej*, zawiera następujące części: *Obowiązki sprawiedliwości, Poszanowanie osoby w jej życiu, Potępienie zabójstwa, Rozbiór wyjątków rzeczywistych lub zmyślonych, Wypadek koniecznej obrony i t. d.* Miałoby to wszystko znaczyć, że nauczyciel szkółki wiejskiej powinien być prawnikiem, dającym rady i czyniącym wywody prawne? Czyż dlatego, że ma dyplom, ma zaraz posiadać prawo radzenia o tem lub owem? Aż strach pomyśleć, co wyjść może z takiego chaosu....

Jeśli przejdziemy z kolei do *Instrukcyi obywatelskiej* (Instruction civique), znajdziemy tam pod rubryką: *Historji prawa*, następującą wskazówkę: *Początki prawa publicznego we Francji, rok 1789, 1848 i 1875*. A więc przed temi trzema epokami, nie było ani prawa, ani rządu, ani żadnej rzeczy, która jego jest; nikt więc, nigdy we Francji, nie nie zrobił w celu ugruntowania politycznego stanu kraju i jego praw publicznych?

Zadania tak liczne, tak wysoko sięgające w sferze, w tak prostej i skromnej, jaką jest powołanie nauczyciela wiejskiego, mimowolnie przypominają nam słowa Beaumarchais'ego, w innych tylko wyrzeczone okolicznościami: „Wnosząc z nauk — powiada ten satyryk — jakich dziś wymagają od nauczyciela wiejskiego pytam: czyż jest wielu z tych, którzy rządzą nami: ministrów, posłów, senatorów, radców stanu, prefektów, którzyby warci byli dostać posadę nauczyciela wiejskiego?“

Czyż nie lepiej-by było, mieć dobrych nauczycieli wiejskich? A że we Francji na nich nie zbywa, pokazała to dobitnie wystawa 1878 roku, w swoim wydziale pedagogicznym. Czyż nie lepiej-by było zostawić nietykalnym dawny programmat, wypróbowany, doświadczony, i tylko obok niego postawić większą zachętę dla nauczycieli, przywiązując nagrody pieniężne i honorowe do tej posady, do tego miejsca, na którym wyświadczone już dotąd tyle usług społeczności? Pytam się: Czy nie byłoby to lepiej i praktyczniej, niż przekształcać ten programmat w jakąś utopią filozoficzno-socialną, która w praktyce, w zastosowaniu, upadnie fatalnie, z braku sankcyi kardynalnej?

Mógłbym tu wiele innych dodać uwag, wiele

zastrzeżeń uczynić; ale korespondent wasz, zmuszony do ścisłości i treściwych określeń każdego przedmiotu, nie ma prawa wyczerpująco traktować, szczególnie tak wyodrębnionych spraw, jaką jest sprawa nauczania początkowego i nauczycieli wiejskich we Francji. Zatrzymuję się więc tutaj, na tych kilku uwagach, na tych kilku zarysach ogólnego poglądu i przechodzę spiesznie do bieżących przedmiotów, które nas popychają naprzód.

Nowe książki — jest ich tyle! Dobre książki — jest ich tak mało, że będzie to zawsze dobrą i przyjemną nowiną, kiedy ukaże się na świat *Książka rozumnego człowieka*. Proszę was: zastanówcie się nad temi trzema wyrazami. „Człowiek“ już to samo nie jest rzeczą tak zwyczajną, jakby się komu zdawać mogło, kiedy już dawno i bardzo dawno temu, Diogenes zapalał latarnią w dzień biały, aby znaleźć człowieka. Ale „człowiek rozumny“ to jeszcze większa nadzwyczajność. No, a „Książka rozumnego człowieka“, to poprostu fenomen.

A więc mówmy ciszej, mówmy między nami: mamy pisarzy, Bogu dzięki! autorów, poetów z łaski Boskiej; mamy ich może nawet więcej, niżli trzeba (mówię tu o Francji): a pomiędzy nimi, iluż to jest ludzi *rozumnych*?

Ale, wracając do naszej książki nowej, i do nowego rozumnego człowieka, powiedzmy zaraz, że tym człowiekiem jest znany dobrze całemu światu, nie tylko jako rozumny, ale i jako dowcipny, Alfons Karr. Wydał on właśnie u Kalmanna Levy'ego książkę pod tytułem: *Zielonym atramentem* (A l'encre verte). Jest to zbiór urywkowych, dawniej już ułożonych, artykułów dziennikarskich, rozproszonych po rozmaitych pismach peryodycznych, i niewydanych nigdzie dotąd jeszcze, kilkaset kartek — gdzie rozum i dowcip satyryczny na każdej błyszczą stronicy.

Jak wiadomo, sposób pisania Karra jest urywkowy; pisarz ten używa zwykle krótkich, zwięzłych peryodów, ale pełnych treści. Umysł to prawdziwego mędrcza, postrzegacza; objawia się zwykle w sposób, albo humorystycznego, krótkiego opowiadania jakiegoś faktu w formie gawędy — albo w ściślejszej jeszcze formie aforyzmów. Dajmy choć jeden przykład. Znajduję w tej książce, o której tu mowa, taki urywek:

„Francja ma taki zasób żywotności w sobie — mówił Fryderyk Wielki — że jeśli kiedy będzie zniszczoną, to tylko przez siebie samą.“ — Alfons Karr dodaje: „Zajmuje się ona tem właśnie (Elle s'en occupe)“. I tak dalej, na każdej kartce, w każdym wierszu prawie, pełno uwag, pełno przycinków, a zawsze umiarkowanych w słowie, niepozslakowanych co do formy, rozumnych i prawdziwie obywatelskim nawskróś przejętych uczuciem — bo Karr, chociaż opponent, jest w głębi ducha republikaninem.

Nowe książki. U wydawcy Charpentiera, wyszedł I-szy tom dzieła p. E. Zoli, pod tytułem: *Naturalizm w Teatrze; teoria i przykłady*. Nie nowe to rzeczy, chociaż książka nowa, ale kilka słów przedmowy samegoż autora, lepiej wam to wytłómacza, aniżeli wszelkie usiłowania korespondenta.

„Wciągu lat czterech — powiada p. Zola — miałem powierzoną sobie krytykę dramatyczną najpierw w dzienniku *Le Bien public*, a następnie w dzienniku *Le Voltaire*. Na tem nowem dla mnie polu teatralnem musiałem ciągnąć dalej, rozpoczętą dawniej, wyprawę w zakresie krytyki literackiej i artystycznej.

„Przecież, stanowisko moje, jako człowieka metody i analizy, zadziwiło i zgorszyło moich towarzyszy pióra. Utrzymywali niektórzy, że się powoduję niegodną, osobistą nienawiścią, zem kalaf powszechną sławę narodową, aby się pomścić moich własnych niepowodzeń, mówiąc o wszystkim,

szczególnie o własnych pismach moich, a milcząc o sztukach, które grano w teatrach.

„Nie mam na to innej odpowiedzi, jak tylko tę jedną: zebrać wszystkie moje artykuły razem i ogłosić jako książkę. I tego właśnie dopełniam w tej chwili. Zobaczą, spodziewam się, wszyscy, że artykuły te wiążą się ściśle z sobą i że się wzajemnie tłómaczą; że mają zarazem i swoją logikę i swoją doktrynę. Za pomocą tych urywków, skleconych naprędce i pod wpływem chwilowych wrażeń, pozostanie mi ta chluba, iż napisałem książkę. Zresztą, jakie są sądy moje o naszym teatrze, takie też podaje, i biorę śmiało całą odpowiedzialność za nie na siebie.

„Ponieważ, artykuły moje były bardzo liczne, musiałem je rozdzielić na dwa tomy. W ten sposób: *Naturalizm w Teatrze* jest to pierwsza serya; druga zaś: *Nasi pisarze dramatyczni*, wyjdzie niebawem“.

Pan Vast-Ricouard, najulubieńszy ongi z uczniów samotnika ze wzgórz Medanu, alias p. Zoli, który nie może powiedzieć, jak nasz Czarniecki: ani z soli ani z roli, bo przecież, jeśli nie z roli, to z Zoli, wszystko mu przyszło — pan Vast-Ricouard, wydał niedawno powieść pod tytułem: *Stara gwardya* (La Vieille Garde), rozechwytywaną i czytana, nawałem prawie — nie dlatego, aby to było dzieło zajmujące, artystyczne, piękne, ale, że w sposób niezmiernie przejrysty, autor przeprowadza w niej, jakby w Szejne-katarynce jakiej, przed oczami paryzkich gapi-muchów, postacie, żywoty! intrygi, powodzenia i upadki, kilku starych, wszystkim dobrze zaanych osóbek, mieszając je w jedną, dość pieprzną sałatę, z łotrzykami, znanymi tu pod ogólnem mianem Alfonsów i Greków. Dziś wyszła u Dentu nowa powieść, ale z teje samej beczki, pod tytułem trudnym do wytłómaczenia na polskie: *La haute pègre*. Jest to wyraz zapożyczony z *Zielonego języka* (La langue verte), złodziei i rzezimieszków, i znaczy wogóle „łotra albo złodzieja“. „La haute pègre“ — jest to coś, jakby *Magnatoryja złodziejska*.

Autor, p. Vast-Ricouard, z tą odwagą, z jaką w ogólności naturalizujący pozytywści gotowi są zawsze do potłuczenia szyb, jak powiadają Francuzi, w oknach sąsiednich im domów, a nie w swoich własnych, autor postanowił odsłonić to misterne ukrycie, w jakim się lubuje i rozkoszuje trzech czy czterech zubożonych łotrzyków, należących dziś do najwyższego towarzystwa paryzkiego, odegrywających nawet przeważne role, i opowiedzieć w głos to, o czem wszyscy wiedzą, ale mówić nie śmia. Mógłbym jeszcze dodać i jaśniejsze do tego wskazówki, ale że to jest rzecz obca dla nas, a brudna i szkaradna, dosyć więc, sądzę, pokazać wam, na czem się opiera nowa powieść, której cały interes jak poprzedniej, zależy, nie na wynalezieniu i układzie, ale na dokładnem fotografowaniu scen z życia hulaków i nierządnic paryzkich, ubranych w jedwabie i złotogłowy.

Ostatniemi czasy cenzura, taż sama stara, jak ją tu nazywają, *Anastazyja* z epoki Cesarstwa, odmówiła swojego *exequatur* na przedstawienie w Paryżu dramatu pod tytułem: *Juarez albo Wyprawę Meksykańską*. *Latarnia* (La Lanterne) popieszyła natychmiast ogłosić tę sztukę w swoich zbyt gościnnych szpaltach, licząc naturalnie na powodzenie niezmiernie zakazanego owocu. Ale powodzenie nie przyszło, bo dramat jest wierutna nędzota. Natomiast wydarzył wcale nieoczekiwany w redakcyi pojedynek pomiędzy autorem dramatu p. Alfredem Garnier i młodym Miquelem (Michałem) Miramonem, synem dawniejszego prezydenta Meksykańskiego, rozstrzelanego w Querétaro wraz z cesarzem Maxymilianem.

Ta honorowa rozprawa narobiła niemałego hałasu w meksykańskich dziennikach, które surowo

ale sprawiedliwie osądziły blażej wartości dramat, niepojmując rygorów zbytecznych francuzkiej cenzury. Rzecz jest pewna, że na scenie dramatu ten zmienilby się na wierutną farsę i utworzyłby doskonale powtórzenie „Garybaldego“ p. Bordonego, ex-aptekarza, ex-intendenta armii, ex-generała, a w tej chwili autora dramatycznego. Pocóż więc stara Anastazyja znalazła się z nożycami w tej sprawie? Żyjemy w epoce najdziwniejszych expektoracyj literackich: darmo więc zamykać słuzy i tamować tę naturalną potrzebę. Lepiej nierównie oddać to na sąd publiczny, który sprawiedliwość wymierzy a odrzuci daleko to, co warte śmiechu.

Przyjaciele urzędowemi laurami uwieńczonego poety, p. Borniera, znowu wysuwają naprzód, trochę już zapomniane, nazwisko autora, akademickiego prawie, słynnej *Córki Rolanda*. Powiadają więc pod wielkim sekretem, że sławny ten wierszopis ukończył właśnie dramat pod tytułem: *Apostoł*. Przedmiot wzięty z historii początków Chrystianizmu. Co to za *actualité* i jak to na swoim dziś miejscu we Francji!

Niedosyć tego, że napisał dramat tego rodzaju, ale dodają jeszcze że w celu odszukania na miejscu prawdziwego i wiernego kolorytu dla swej sztuki, p. Bornier w ostatnich czasach odbył podróż do Algieryi! Co to za dziwne koncepta reklamy! Pisać *dramat* i jeździć i szukać po Algieryi jakichś barw historycznych, lokalnych! Doprawdy, potrzeba być Francuzem, aby coś podobnego wynaleźć i napisać!

Często są oni dziwni i niepojęci w swoich literackich sądach. Przypomina mi to, co Lamartine napisał w swoich „Poufnych rozmowach“ (Les entretiens familiers) o Balzaku.

Utrzymywał on, że Molière co do pomysłu (?) był sto razy niższym od Balzaka. Balzak według Lamartine'a był zarazem Homerem, Walter Scottem i Dantym! Zapewne, że sąd ten nie ma zbyt wielkiej wagi dla tych, którzy wiedzą, jak niedbale, jak szczerze, z jaką łatwością i z jaką uprzejmością Lamartine rozdawał wieniec nieśmiertelności pomiędzy piszącą rzeszę. Było to u niego zawarowane prawem grzeczności. W tychże samych *poufnych rozmowach* porównał on do Homera czterestu rozmaitych poetów i pisarzy. Siedmiu z nich żyje jeszcze, a więc wolę zamilczeć o ich nazwiskach, bo się obawiam, aby zbyt dziwne Odysseje tych panów nie zaszkodziły czasem Illiadowi, które zamysłają stworzyć!

Powiedzmy jednak, że się nie godzi tak dalece posuwać lekkości literackiej, i że przesadzone pochwały Lamartine'a nie przestają być prawdziwemi herezjami w literaturze, chociaż znaleźli się tacy, którzy je przeszli. Jeden naprzykład z fanatyków nazywa tegoż Balzaka „Chrystusem nowożytniej sztuki“. A tego jeszcze przeszedł sam Balzak, który własną ręką napisał następną reklamę: „Czytałem gdzieś (?) że, gdy Bóg stworzył Adama, powiedział: „Oto człowiek!“ Czyżby nie można także powiedzieć, że Bóg zesłał również na ziemię Balzaka mówiąc mu: „Otoś jest! opowiadaj!“ Wiadomo, że tenże sam Balzak na podstawie posażka Napoleona I napisał ołówkiem: „Tego, czego Napoleon dokazał szablą, ja dokazę piórem“. Wiktor Hugo spotkał się zresztą z Balzakiem w tem uczuciu skromności: „Czemuzby nie mógł się znaleźć człowiek, powiada Hugo, któryby się miał tak do literatury, jak Napoleon do Karola W.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się półarkusz 7-my powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 14-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Żony ludzi pracujących, przez M. Ilnicką. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Korespondencya zagraniczna, (Poznań). — Nowiny paryzkie, (dokończenie).

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 24 Марта 1881 года.



# SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— A panna Agnieszka Franz, czy jest w domu — zapytał Henryk.

Dziewczyna wzdrygnęła się cała, jak gdyby tem jednym, prostym zapytaniem znieważył już jej młodą panią. Przybrana na chwilę pokora zniknęła nagle; ze spuszczonej w dół oczyma, ale oschłym i stanowczym głosem rzekła:

— Tej nie zobaczysz pan.

— A to dla czego? Czy wyjechała?

— Nie...

— A więc dla czego nie mam jej widzieć...

— Dla tego, że ani ona do pana, ani pan do niej nie masz żadnego interesu.

— Przepraszam, właśnie mam do niej interes: chcę ją widzieć.

— Ale ona może tego nie chcieć i zawczasu powinienesz to pan wiedzieć, że jej nie zobaczysz...

— Odpowiadasz jakgdybyś była nią samą, lub taką przyjaciółką najbliższą która wie wszystko co jej pani ma w sercu i w głowie. Ale tak bywa niekiedy: są panie, które w braku tkliwszych stosunków lubią się powierzać swym pokojówkom.

Mówił to wszystko szyderczo i patrzył jeszcze szyderzej na dziewczynę, która schyliwszy się poprzednio dla podniesienia kilku marchwi, które jej wypadły z ręki, teraz wyprostowała się szybko i wyniosłe, a piękne jej oczy zaświeciły błyskawicą gniewu.

— Czyż pokojówka nie powinna wiedzieć, kogo jej pani chce widzieć, a kogo nie? Otóż moja pani...

Zatrzymała się nagle, płonąc żywym rumieńcem i zaciskając usta, jak gdyby pragnęła cofnąć w połowie wypowiedzianą już, ostrą odpowiedź. Bo niestety, z boleścią i przerażeniem przypomniała sobie w tej chwili, że ten, którego nie chciano przyjąć, był właśnie właścicielem domu, którego drzwi były dlań zamknięte i miał zupełną moc wyrzucenia z niego całej rodziny niewyplątnego dzierżawcy.

On cieszył się jej zakłopotaniem i ani jednym słówkiem nie uspokoił jej obawy, choć widział, ile cierpiała, choć ta piękna, wysmukła, nagle tak pokornie w dół patrząca dziewczyna, była w tej chwili podobną do przestraszonej sarenki — ale kara musiała nastąpić.

— Pani moja nie chce widywać nieznanomych osób, nie chce by przerywano jej zajęcie, któremu oddaje się od pewnego czasu — kończyła prawie błagającym głosem.

— Nie wierzę ci moja piękna — odparł młody panicz niewzruszony. — Guwernantki, przebywając w bogatych domach, przyzwyczajają się tak do gości, do zabawy, że nie mogą mieć upodobania w klasztornej życiu.

Znów wyprostowała się dumnie, a na ustach jej ukazał się uśmiech pełen goryczy.

— Może moja pani jest inną, niż tamte, których znajomości zawdzięczasz pan tak dokładne pojęcie charakteru guwernantek. Zresztą przypominam, że wczoraj jeszcze sam powiedziałeś, a to, że chcesz jej unikać, o ile tylko będzie można.

— Czy ona wie już o tem?

— Wie, powtórzyła jej słowo w słowo.

— Tak... Ale nie to dziwnego, donosicielstwo jest przecież jednym z obowiązków pokojówek. Więc tedy powiedziałem to, a i teraz powtarzam wyraźnie, że wcale, a wcale nie pragnę wejść w jakiegokolwiek stosunki z twą panną guwernantką, gdyż mam nieprzewyciężony niezem wstręt do osób tego zawodu. Ale wyjątkowe okoliczności zmuszają mnie do półgodzinnej rozmowy z panną Agnieszką Franz i dla tego chciałem się z nią widzieć. Jednakowoż da się to i listownie załatwić — otóż postanowiłem napisać do niej.

— I po wszystkim tem, coś pan powiedział, sądzisz jeszcze, że pani moja będzie chciała przyjąć i przeczytać list od pana? — zapytała pogardliwie drżącymi ustami.

— Spodziewam się gdyż będzie zmuszoną do tego, chodzi tu o zabezpieczenie jej własnej przyszłości — odparł z żywością, a oczy jego zaczęły znów połyskiwać gniewem.

Znów odrzuciła rolę pokornej i zazłbiała się pogardliwie.

— Będzie zmuszoną! — powtórzyła. — I to zapewne dla tego, aby nie zostać wygnaną z tej nędznej dzierżawy? O, czy się tylko pan nie mylisz? Mnie się zdaje, że będzie wołała wynieść się ztąd raczej. Oh! wołała by nawet pójść w świat boszo, w nocy i podczas burzy...

— I to ją z pewnością spotka — zawołał, nie mogąc się powstrzymać dłużej.

— Nic też innego nie spodziewano się u nas po nowym dziecku Hirschwinklu! — odparła dziewczyna z uniesieniem. — Wiedzieliśmy doskonale, że człowiek postępowy, człowiek praktyczny, przemysłowiec, wypędzi nieplacącego dzierżawcę; wiedzieliśmy, że pokażesz się rzeczywiście takim niemiłosiernym bogaczem, o jakim wspomina Pismo Święte.

— I ty, uboga dziewczyna, służąca, osmielasz się wyzywać tego bogacza? — odparł teraz już tylko szydząc i prawie wesoło. — Zastanów się! Pan twój pewnie nie będzie ci wdzięcznym za to, że drażniąc mnie nierozważnie, pogorszasz jeszcze już i tak złe położenie. Przytem wszystkim gniew nie jest ci wcale do twarzy, piękna Abigail...

Mówiąc to, zbliżył się o krok do niej, ale ona cofnęła się prędko w tył.

— I ta śmieszna, przesadzona skromność, czy trwożliwość wcale nie przystoi twemu stanowi! — zawołał, marszcząc brwi i rzucając na nią pełne gniewu spojrzenie. — Wyglądało tak, jakgdybyś bała się jakichś z mojej strony zalotów, a to wszystko dla tego, że raz przyszła mi fantazyja zajrzeć ci pod chustkę. Ale temu toś sama winna. Rzeczy ukryte drażnią ciekawość ludzką. Może niejedna z moich dawnych znajomych byłaby zajęła mnie żywiej, gdyby nie była produkowała jak na pokaz swoich wdzięków, gdyby wyobraźnia mogła się być zająć przypuszczeniem. Ale wracając do ciebie, dziś już nie masz potrzeby obawiać się mej natrętności. Mam szczęście — tu uśmiechnął się ironicznie — oglądać cię bez zasłony, więc ciekawym już nie jestem, chyba tego, co tu będziesz robić dalej w Hirschwinklu?... Uważasz się niewątpliwie za osobę wyżej wykształconą...

— Niech się pan o to nie kłopotuje, wykształcenie, jeżeli je mam rzeczywiście, nie zaskodzi mi, jakkolwiek jestem służącą... Przyszłość zależy cokolwiek od woli i zasługi człowieka, a nie koniecznie i jedynie od ślepego losu. Ta właśnie myśl dodaje mi odwagi, nie pozwoli upaść na duchu tak prędko. Na to jestem jeszcze zbyt młoda i zdrowa i co do mej osoby zupełnie przygotowana na ową chwilę, gdy będziemy musieli wyjść ztąd i szukać innego schronienia.

— Grafenholz niedaleko, dom gajowego jest wcale ładny i miło będzie w nim rządzić — mruknął p. Henryk Markus z gniewem, który go zdjął na

wspomnienie romantycznego leśnika. Może nawet byłby powiedział coś więcej i głośniejsze, gdyby nagle wrzawa na podwórzu nie przerwała dalszej rozmowy. Pies zaczął ujadać, wystraszone gołębie zerwały się i uleciały na dachy, a po chwili jakiś głos męzki, ale niemal płaczący zawołał: — Co to jest... Czy tu nie ma nikogo? Gdzieś się podziała kochanie... kochanie... Na wołanie, odzywające się z po rogu domu dziewczyna pobiegła do drzwiczek ogrodu i otworzyła je szybko.

— Ach, jesteście! Byłaś w ogrodzie, rwałaś włoszczyznę do obiadu — odezwał się znów głos, już uspokojony widocznie. — Proszę cię moja droga, zobacz no, co się tu stało? Tam za bramą, kręci się jakiś obcy. Jest to włóczęga z ogromną brodą, który mi się nie podoba i wydaje się podejrzanym. Daj mu kawałek chleba i te dwa grosze, więcej nie daje się teraz na folwarku bo czasy są złe. A proszę cię, powiedz mu, aby zaraz poszedł sobie dalej!

Tymczasem i młody dziedzic zbliżył się do drzwiczek ogrodu, ale zawahał się jeszcze i zatrzymał przez chwilę w cienistych zaroślach. Teraz, choć z boku, mógł dobrze przyjrzeć się mocno zrujnowanemu domowi, z powybijanymi, częścią papierem zaklejonymi szybami w oknach. Do jakiejże nędzy doszedł bogaty niegdyś dzierżawca wielkich dóbr rządowych, skoro trzymał się uparcie takiej starej, zniszczonej rudery, która stanowiła jednak ostatnie już schronienie przed nędzą!

Przed sienią domu stał wysoki, chudy starzec. Wprawej ręce trzymał fajkę na długim cybuchu, w lewej łaskę, na której się opierał. Miał bardzo wyraziste, regularne i nawet szlachetnie piękne rysy, w młodym wieku musiał nawet być uderzająco przystojnym mężczyzną. Teraz jednak był mocno pomarszczony, skóra na tej wychudzonej, kościstej twarzy była bardzo żółta, a ciemne oczy, niby wypalone węgle ukrywały się w głębokich jamach. On to być musiał, on, znany gracz, marnotrawca i hulaka; niszczące działanie namiętności wyraziście występowały mu w rysach.

Zatrzymał się we drzwiach, podczas gdy dziewczyna przemknęła obok niego wsuwając się do domu, aby ukrącając kawałek chleba dla żebraka. Od czasu do czasu przykładając usta do cybucha, wypuszczając z nich w powietrze gęste obłoki dymu i szukając oczyma włóczęgi, który tymczasem musiał się ukryć przed badawczym jego wzrokiem.

I Henryk, któremu, w głowie błysnęło nagle przypuszczenie, pragnął zobaczyć podejrzanego żebraka. Brama, znajdująca się wprost naprzeciwko drzwi dworku, była do połowy otwarta i ze swego obserwacyjnego miejsca mógł on doskonale widzieć, jak po za drugą, zamkniętą połową jakiś człowiek pochylony, z twarzą przyciśniętą do szerokiej szpary pomiędzy spazconymi deskami, badawczo zagłębiał wzrok w podwórzu. Wytarty, stary surdut, pomięty kapeluszyk i ciemne pantalonki w paski, widzialne zdaleka, nie były obce Henrykowi. Gdy dziewczyna wyszła znów z sieni, trzymając w ręce kawałek chleba, ukazała się w bramie głowa z ogromną jasno blond brodą, błysnęła blada, chorowicie wychudzona twarz i dziedzic Hirschwinklu poznał natychmiast młodzieńca, który wczoraj nocował we dworze.

Nieszczęśliwy wyglądał teraz jeszcze więcej zbiedzonym; zdawało się, że zaledwie zdołał się utrzymać na drżących z osłabienia nogach. Ucieczka przez okno musiała być dla niego olbrzymim wysileniem i widząc ten stan jego, niepodobna było przypuszczać, aby uciekając miał zakradać się poprzednio do sąsiednich pokoi, i ukraść dukat Ludwisi. Był by to czyn zuchwałej śmiałości, której nie podobna było w nim przypuścić.

Rzecz szczególna, że ten biedaczysko wywierał silnie wzruszające wrażenie na wszystkich, którzy się do niego zbliżyli. Dziewczyna z pośpiechem przebiegła przez podwórze, i zatrzymała się w bramie, szukając wzrokiem, lecz natychmiast cofnęła się z przerażeniem w tył. Poczem rzuciwszy na ziemię chleb, ona, dumna skromnista, tak samo jak wczoraj pocziwa Ludwika, bez namysłu poskoczyła do chwiejącego się, aby wesprzeć go swem dziewiczym ramieniem.

Teraz Henryk rozniewał się nagle na włóczęgę, który umiał uczynić się tak interesującym w oczach dziewczyn, uczucie było podobne do tego jakie w nim budził gajowy z Grafenholz za śmieszna gotowość do wszystkich usług dla mieszkańców folwarku. Już nie mógł widzieć obojga; zniknęli dalej po za murem, ale za to słyszał, jak stary posesor sztukał okutą laską o kamienną posadzkę sieni, powracając do mieszkania.

Wewnątrz było tak cicho, jak gdyby dom był pusty. Biedna chora leżała w łóżku, a panna gubernantka o której wienie poetycznej Henryk wątpił, zapewne malowała kwiatki, lub zajęta była czytaniem francuzkiego romansu.

Henryk z pośpiechem opuścił swe zielone ukrycie i poszedł przez podwórze do dworku.

Posesor miał właśnie położyć rękę na klamce drzwi, gdy usłyszał odgłos szybkich kroków po za sobą. Wyprostowawszy z trudnością swą pochyloną postać, odwrócił po za siebie głowę.

— Któż tam znowu? — zawołał z gniewem i nie bez niejakiej obawy.

Nowo przybyły, przedstawił się gospodarzowi, wymieniając swe nazwisko.

Starzec wyprostował się natychmiast w całej swej wysokości, jak gdyby ożywiający, galwaniczny prąd przebiegł mu przez stężale członki i w istocie wydał się teraz prawdziwie imponującym. Pański, pełen godności sposób, w jaki powitał gościa, prawie zatarł wrażenie wielokrotnie łatanego, choć axamitnego szlafroka.

Długi cybuch rzucony został w najbliższy kąt i podczas gdy jedną ręką machnął szybko po powietrzu, aby z przed twarzy gościa rozpędzić nie bardzo arystokratycznie wionący dym, odezwał się z uprzejmym uśmiechem: — Chciał bym oszczędzić tak pożądanemu gościowi przykrości. Zmuszony jestem palić najłżejszy jaki tylko można dostać tytón — panowie doktorzy są prawdziwymi tyranami i wcale nie troszczą się o to, czy kto może przyzwyczaić się do ordynarnego liścia.

Mówiąc to, otworzył drzwi z tak dwornie zapraszającym ruchem, jak by miał wprowadzić gościa do najwspanialszych komnat. Tymczasem była to ubogo umeblowana izba, choć dość obszerna i ze staranną czystością utrzymywana. W głębi przy ścianie stało łóżko, na którym nieśczęśliwa kobieta cierpiała już przeszło od roku. Po nad kotarą połyskiwały firanki, wyprasowane wczoraj wieczorem przy pomocy drzewa, przyniesionego z domu leśnika. W pięknych, śnieżnej białości zwojach zwieszały się one po nad miękką, świeżą, czystociuchną pościelą. Tuż obok stał okrągły stolik; na mahoniowej, błyszczącej jego płycie leżały pięknie oprawne, ze złoceniemi brzegami książki, a duży, malowniczo dobrany bukiet leśnych i polnych kwiatków, jaśniał w kryształowym kielichu...

Chorej nie otaczała tak wielka nędza, jak to Henryk przypuszczał! Dwie siostry miłosierdzia krzątały się znać u jej łóża. Pracowita i mocna, obdarzona silną wolą, którą po raz pierwszy widział z rybacką siatką na ramieniu, troszczyła się o pokarm i materialne wygody tego biednego życia, druga zaopatrywała je na swój sposób, w rzeczy piękne i miłe, które mogły wyjść jedynie z pod delikatnych rączek. Piękna panna, niewątpliwie u fryzowana i uperfumowana, raczyła zapewne siadać przy łóżku ciotki i z miniaturowych tomików czytywała poezje i powieści, wprowadzając w ten sposób do ubogiej izby słabe odbicie dawnego, w innych warunkach pędzonego życia.

— Droga żono, oto pan Henryk Markus, nasz nowy sąsiad! — odezwał się stary przedstawiając, przychem swój silny basowy głos zniżył do tkliwie

miękkiego dźwięku. Człowiek ten w prawdziwie zabawny sposób zdawał się umyślnie opuszczać jeden z najważniejszych, jak dla niego tytułów Henryka, tytuł: dziedzic!...

Drobna, kobieca twarz wychudła aż do przezroczystości i zdradzającą wiek już posunięty, nie tylko białymi jak śnieg włosami, z widocznym przerażeniem podniosła się z poduszek.

— Ach, to pan! dziedzic Hirschwinklu — szepnęła słabym, wzruszmy głosem, wyciągając ku niemu chudą, w tej chwili nerwowo drżącą rękę. I w tej duszy kobiecej zbudziło się na jego widok uczucie niepokoju, bolesna obawa, że oto nadeszła wreszcie straszna, stanowcza chwila.

Henryk przystąpił do łóżka i ujawnił podaną sobie rękę, poniósł z uszanowaniem do ust. — Zechciej, szanowna pani, przyjąć łaskawie nowego sąsiada. Będzie on usiłował być ci życzliwym i wiernym przyjacielem — rzekł z wielkim szacunkiem.

Chora spojrziała na mówiącego jeszcze pięknie, szeroko otworzonymi, mocno zadziwionymi oczyma, jak gdyby sądziła, że nie dobrze usłyszała jego słowa. Ale piękna, szlachetna, mężka twarz, na której świeżych ustach ukazał się teraz pełen dobroci uśmiech, wcale nie wydawała się obłudną, lub rzucającą lekkomyślnie frazesa bez znaczenia. W tem uszczęśliwiającem ją przekonaniu, chora serdecznie uściśnęła dłoń gościa, a pierś oddetchnęła jakgdyby z głębokim uczuciem ulgi. — Ach, jakże to szlachetnie ze strony pana, żeś nas biednych ludzi, dzierzawców twoich na małym folwarku łaskawie odwiedził — rzekła, urywając wszakże prędko, gdyż mąż, który odechrząknął, był znać niezadowolony z tych słów pokornych.

— Wyobraź sobie Zuziu, co mnie spotkało — rzekł śmiejąc się wesoło gospodarz. — Sądząc, że ów włóczęga z przed bramy woiska się zuchwale aż do naszego domu, zacząłem coś mówić o bezczelności żebraków, odwracam się przytem i widzę przed sobą pana Markusa!

Powiedziawszy to, zagłębił się w stary, trzeszczący fotel, siedząc wprost naprzeciwko gościa, który na zapraszające skinienie chorej, zajął miejsce na krzesle obok łóżka.

— W Gelsungen, rozległym kluczu rządowym, który przez wiele lat trzymałem w dzierżawie — mówił dalej stary, z bolesnem skrzywieniem pocierając sobie jedno z kolan — nigdy nie przyszło mi na myśl, abym mógł być okradzionym przez złodziei. Wprawdzie tam mieliśmy piękny pałac, pokoje mieszkalne znajdowały się na pierwszym piętrze, przytem było dość sług, gdy tymczasem tu w samotności jest zupełnie co innego. Obecnie mamy mało ludzi w koło siebie, a nisko położone okna wzbudzają słuszną obawę. Z pokoju jadalnego złodzieje mogliby ukraść wszystkie nasze srebra, a nikt ani by im nie przeszkodził nawet. Takie rzeczy spostrzegają się dopiero nagle, po czasie i szkoda może być już niepowetowaną.

Henryk spojrział smutnie na starego fanfaroną, przypomniał sobie o dwóch ostatnich srebrnych łyżkach, których wczoraj pocziwa sługa tak energicznie broniła; chora zaś spuściła oczy na koldrę, a słaby rumieniec wystąpił na jej bładą twarz.

— Sądzę rzekł Henryk po chwili, że nie potrzebujesz pan obawiać się młodego biedaka, który przed chwilą stał przed bramą, gdyż nie zdaje się to być zły człowiek. — Poczem opowiedział swoje spotkanie z nim na gościńcu i przyjęcie go na noc we dworze. Nie zamilczał przytem ucieczki nieboraka, spowodowanej niezawodnie przez smutny wstyd swego położenia i młodzieńcze poczucie swej godności. — Dziś wydawał mi się on jeszcze więcej osłabionym niż wczoraj — dodał. — Widziałem, jak służąca państwa, która wniosła mu kawałek chleba, przybiegła mu na pomoc, widząc że się zachwiał na nogach.

— Nasza służąca? — zapytała staruszka, podnosząc głowę z poduszek.

— Tak, Zuzanno, nasza służąca! — potwierdził posesor tak głośno, jak by chciał nie dopuścić żony do słowa. — Dałem jej także kilka groszy

dla tego człowieka. Ale dowiedziawszy się od pana bliższych szczegółów widzę, że nie dość zrobiłem — mówił dalej z rzeczywiście szczerym żalem i z niezadowolaniem pocierając znów kolano. — Należało by dopomódz biedakowi i każe go zaraz pomieścić na folwarku, aby posilił się i wypoczął przez kilka dni. Mogę się tem pochwalić, że nigdy nie było u mnie zwyczaju wyganiania ubogich ludzi, potrzebujących wsparcia. Natychmiast każe go tu sprowadzić.

Chciał podnieść się, ale Markus uprzedził go.

— Pozwól, panie posesorze — rzekł — ażebym cię wyreczył.

— Ale kochanku, nie wiem, czy mamy dziś co posiłnego na obiad — zawołał z niepokojem miękki, drżący głos kobiety. — A przytem, konieczne trzeba dać słabemu wygodne łóżko...

— No, tak, ma się rozumieć. Nie pojmuję o co ci idzie, Zuziu! — przerwał jej mąż z nietajoną niechęcią. — Czyż nam brakuje tego, co potrzeba? Czyż nie znajdzie się już u nas łóżka dla biedaka? Nieraz ludzie mawiali, że nigdzie nie śpi się tak dobrze i wygodnie jak u nas... Nie troszcz się, droga żono, o gospodarstwo! Masz zupełnie mylne wyobrażenie o naszym domu od czasu, gdy nie możesz osobiście doglądać wszystkiego. Zapewniam cię jednak, że cały zarząd znajduje się w bardzo dobrym stanie, i możesz być zupełnie spokojna moja pracowita gosposiu. Bo lubo nasz dom nie stoi już na tak świetnej stopie jak dawniej, to przecież nie brakuje nam jeszcze koniecznych wygód.

— Wprawdzie — zaczął znów, pocierając ręką czoło — nie będę mógł dać osłabionemu biedakowi wina i pod tym względem chwilowo nie jestem w stanie współubiegać się z miłosiernym przyjęciem, jakiego doznał we dworze. Przekłeta podarga zaatakowała mnie znów nielitościwie; okulała, nie mogę w żaden sposób zejść do piwnicy, a z zasady nie pozwolę nikomu dotknąć się moich win kosztownych.

— To pozwól mi pan, przysłać tu tymczasowo kosz wina z piwnicy zmarłej przyjaciółki państwa — odezwał się Henryk, który trzymając ręką klamkę drzwi, zatrzymał się jeszcze na progu. — W skutek słabości pana i szanowna twa małżonka była by przez jakiś czas pozbawioną wzmacniającego napoju, mam więc nadzieję, że okaże się tak dobrą i nie odmówi małego podarunku, pochodzącego jakgdyby z rąk najlepszej swej przyjaciółki.

Oddalił się i szybko przebiegł przez podwórze. Dopóki siedział przy łóżku chorej, nie mógł pozbyć się pewnej przykrej, mocno drażniącej go myśli. Skromnista ujrawszy go w ogrodzie, natychmiast spuściła rękawy na odkryte ręce, jak gdyby spłamił je samem spojrzeniem, a w chwilę później zarzuciła je bez namysłu na szyję młodego włóczęgi, gdy go trzeba było poderzeć. Gniewało go to dotąd i to tak dalece, że z pośpiechem skorzystał z pierwszej sposobności, aby wybiedz na podwórze i usuwając gorliwą w swej litości dziewczynę, sam przyjsz z pomocą osłabionemu młodzieńcowi.

Ale ani na podwórzu, ani za bramą nie było żadnej żywej istoty. Obecny musiał powlec się w dalszą drogę, otrzymawszy chleb i dwa fenigi, a dziewczyna niezawodnie powróciła do domowych zajęć. Na tę myśl, Henryk odetchnął głębokko, jak gdyby pozbył się niemile gniołającego ciężaru. Co za śmieszność! Cóż go mogła obchodzić ta ekscentryczna dziewczyna i włóczęga, któremu przyniosła pomoc w potrzebie?

(Dalszy ciąg nastąpi)

# WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Musha! — zawołał Pat — Lękałem się bardzo, a nadewszystko o dzieci... Biedne maleństwa! Gdy pomyślę o tem, że kule mogły ich dosięgnąć! Sir Reginald osłaniał z jednej strony drzewiczki, z drugiej ja stanąłem. Pierś biednego paddy tak samo może służyć za tarczę, jak pana półkownika królewskich dragonów.

— Jesteś dzielny chłopcem! — odrzekł wicehrabia. — Teraz widzę, że zasługujesz na zupełną ufność. Wkrótce dowiesz się o rzeczy bardzo ważnej, a tak tajemnej, że trzeba raczej umrzeć, a nie wydać jej.

— Panie — zawołał paddy — ludzie dzisiaj pragną umierać...

— Czy pan wiesz, że ten wąż z którego pozwolono nam wyjść, zowie się: Dyabelski parów. To był cud, żeś pan zaklął biednych dyabłów, co się kryli po wzgórzach.

XXXI.

Z śmierci do życia.

Należało koniecznie zatrzymać się dla zlustrowania szwadronu po napadzie.

Zaledwie kilku jeźdźców nie stawiło się do apelu, ale z rannych wielu nie mogło puścić się w dalszą podróż. W małym miasteczku, do którego dojechano, urządzono ambulans.

Kobiety, zaprowadzone przez Tankreda na prośbę, znalazły tam pełną uprzejmości gościnność.

Reginald wcale się nie pokazywał. Z obawy nowego napadu postanowił udać się w dalszą podróż dopiero o świcie.

Teraz niepodobna było przybyć do Kildare wcześniej, jak o siódmej godzinie rano. Opóźnienie to mocno niepokoiło Tankreda, liczył bowiem że staną tam w nocy.

Na szczęście dwór znajdował się w obwodzie ruin starego zamku Fitz-Geraldów, a kaplica z grobami familijnymi, wznosiła się niedaleko nowego mieszkania obecnych dziedziców. Podziemne przejście łączyło dwór z kaplicą. Tak więc i podczas dnia można było przenieść ztamtąd Edwarda do domu mieszkalnego, nie obawiając się oczu ludzkich.

Podczas krótkiego spoczynku Łucya i Pamela udzieliły wicehrabiemu szczegółowych o tem objaśnień. Starano się przewidzieć wszystko, zbliżała się bowiem stanowcza chwila.

Gaillefontaine udał się do Reginalda, który prosił, aby go zawiadomiał o rozkazach księżny.

— Wejście do kaplicy — tłumaczył Tankred przyjacielowi — znajduje się niedaleko po za dworem, w tej pustej alei, która biegnie wzdłuż starych wałów. Podwórze, jest otoczone wysokim murem, przed którym wznosi się gotycki przedsionek i krata; tam trzeba stanąć orszakowi.

— Dość, dość! — przerwał mu półkownik. Doskonale znam miejscowość, a szczególnie alei,

gdyż tędy właśnie prowadzi droga do koszar miasteczka Kildare.

Zatrąbiono do pochodu, Reginald wydał stosowne rozkazy.

Zaledwie zaczęło świtać. Biedne wioski Irlandyi rzadko kiedy ukazują się w tak zielonych, wdzięcznych szatach jak właśnie tego poranku przy pierwszym blasku wiosennych promieni słońca.

Ta sprzeszność z ich żalobą i bolesnym niepokojem przykro uderzała podróżne, znużone przytem całonocną podróżą i doznaniem w niej przygodami. Na jednej tylko Łucyi nie znać było zmęczenia i Tankred spoglądając na nią, pomyślał: — Och, ona także jest wiosną, jest porankiem w wśród żaloby i nieszczęść krwawych.

W oddaleniu ukazywało się Kildare. Białe mgły powstające z otaczających miasteczko niezmiernych łąk, unosiły się, niby przezroczysta gaza, osłaniając stare bastiony, owinięte zielonym bluszczem.

Nikogo nie zadziwił powrót dragonów. Od samego początku zaburzeń bezustannie byli oni w ruchu, oddalając się i wracając. I karetą również nie zwracała na siebie uwagi. Mieszczanie spali jeszcze, ulice były puste, szczególnie też w okolicy starego zamku.

Wóz, pokryty żaglowem płótnem, niedozwalającym dostrzedz smutnego ciężaru, zatrzymał się przed żelazną kratą, wskazaną przez półkownika.

Nie potrzeba było obawiać się wzroku nartretów, gdyż eskorta nie pozwalała się zbliżyć nikomu.

Karetą wjechała w bramę dworu, która za nią natychmiast zamknęła się, trumnę zaś czterech dragonów wniosło na podwórze, prowadzące do kaplicy. Tony przybiegł z kluczami i z pośpiechem otworzył dębowe drzwi, noszące ślady czasu.

Nie oszczędził on ani drzewa, ani kamienia. Cały prawie gotycki fronton był zrujnowany. Święci patronowie nie znajdowali się już w swych niszach, na bruku leżało mnóstwo szczątków i gruzów. A przecież zniszczenie to nie ujmowało nic piękności i harmonii świętego przybytku, gdyż każdy wyłom, każdą szparę wypełniły mchy, kwiaty i gniazda jaskółek.

Biedne ptaszyny zaniepokojone niezwykle odwiedzinami ulatywały po nad trumną.

Murzyn służył za przewodnika dragonom.

Skierował ich ku schodom po prawej stronie chóru, prowadzącym do pieczar. Tam znajdowały się groby Fitz-Geraldów.

Najstarsze z nich, z pięknymi posągami z marmuru, ciągnęły się wzdłuż ścian zaraz od wejścia. Czarne kamienne płyty świadczyły napisami, że spoczywają tu potomkowie starożytnego rodu. Ale w głębi, gdzie chowano późniejszych już hrabiów na Kildare, znajdowały się jeszcze próżne grobowce — czekały na przyszłych mieszkańców.

Kamienne filary podpierały sklepienie. W głębi, w środkowym miejscu znajdowało się wyniesienie, tworzące katafelek.

Tam postawiono trumnę.

Dragonie otrzymali rozkaz powrócenia natychmiast do koni. Półkownik ich pozostał w kaplicy z Gaillefontainem.

— Każ oddalić się szwadronowi — szepnął mu wicehrabia — a sam powróć tu zaraz.

Reginald wybiegł na podwórze i zdawszy wodztwo adiutantowi swemu, lordowi Roden, prosił go, aby natychmiast odprowadził szwadron do koszar.

Na podwórzu pozostał przy koniach jeden tylko Pat, któremu Tankred rozkazał nie wpuszczać nikogo do kaplicy.

Dla tem większego bezpieczeństwa Gaillefontaine, wpuściwszy Reginalda, zamknął drzwi kaplicy na klucz.

Zeszli do pieczar.

Na stopniach katafalku stał Tony, trzymając palącą się pochodnię. Dalej w głębi, w cieniu gotyckich łuków widać było cztery czarne ubrane kobiety: Przybyły one podziemnym przejściem, wiodącym z mieszkalnego domu.

Nieszczęśliwy Reginald ujrawszy je, ukrył się za jedną z kolumn.

Tankred zbliżył się do trumny i wyjąwszy z kieszeni klucz, otworzył ją.

Kobiety przybliżyły się i ukłękły.

Nastąpiła chwila niewysłowionego niepokoju. Nikt dotąd nie ośmielił się dotknąć zwojów całuna, którym osłonięto zmarłego. Wreszcie Łucya na wezwanie Tankreda usunęła go.

Jak w obrazach Rembrandta większa część osób pozostawała w pół cieniu. W pełnym świetle znajdował się tylko jeden punkt — ten, w którym za chwilę miała się ukazać twarz Fitz-Geralda.

Wreszcie ujrano ją: bladą, nieruchomą. Powieki pozostały zamknięte, usta jednak były na wpół otworzone.

— Oddychał! — zawołała młoda dziewczyna po chwili wyjątego słuchania, i drżenie nadziei przebiegło wszystkich obecnych.

Gaillefontaine zbliżył się trzymając w ręku flaszeczkę, którą, jak wiemy, otrzymał od doktora Slowiusa Jumble. Przysunął ją do ust Edwarda, a ten, po wpuszczeniu pierwszych kropeł, poruszył się prawie natychmiast. Gdy cała flaszeczka została wypróżniona, zamknięte dotąd oczy, otworzyły się.

Pamela, Łucya, księżna, całe drżące najwyższem wzruszeniem, pochyliły się z tklivością ku martwychwstałemu.

— Pamela! Moja matka! Siostra! — szepnął niby we śnie, zaledwie dosłyszany głosem, poznając je po kolei, potem podtrzymywany przez nie, podniósł się zwolna. Pochodnia drżała w ręku wiernego murzyna, głośno płaczącego z radości.

Fitz-Gerald widocznie usiłował pojąć, co się z nim stało. Wzrokiem, jeszcze niepewnym, prosił o wytłumaczenie. Wyjął parę słów niezrozumiałych.

— Później! — przerwała mu Pamela. — Później dowiesz się o wszystkim. Ocalono cię, powrócono cię nam, już minęło wszelkie niebezpieczeństwo!... Och, jakże tklivym był uścisk powitania!

O kilka kroków dalej Tankred, ujrawszy stojący przed krucyfiksem fotel, przysunął go z pośpiechem. Żona i matka posadziły go na nim sir Edwarda. Siostra wskazując na wicehrabiego, rzekła:

— Oto jest sprawca cudu!...

— O, za pozwoleniem! — zawołał wtedy Tankred — jest nas dwóch... Sir Reginaldzie, pokaz-że się nareszcie!

Syn wicekróla przybliżył się wolnym krokiem. Był on bardzo blady i bardzo wzruszony.

— Nie mogę przyjąć tego szlachetnego kłamstwa — oświadczył. — Lecz wicehrabio co rozpoczęś sam jeden, teraz dokończymy wspólnie.

Poczem zbliżywszy się do swej młodej małżonki, zawołał z gorącym uniesieniem tklivości: — O! Łucy, teraz mam nadzieję, że zdołam spełnić mą obietnicę!

— Liczę na to — rzekł Tankred — gdyż teraz mamy przed sobą nową trudność: trzeba wywieść Edwarda z Irlandyi. W Newgate miałem w doktorze Slowiusu Jumble pomocnika, w Kildare ja pragnę być twoim — jeżeli tylko, sir Reginaldzie, zechcesz mnie przyjąć do współdziałania. Czy zgoda?

Nie mogło być odpowiedzi: nie... Ręce dwóch przyjaciół spotkały się i uściśnęły w milczeniu.

Tymczasem i Fitz-Gerald zrozumiał. I on wyciągnął ręce do obu, lecz wyczerpany tyłu silnymi wzruszeniami, zemdlął.

Tony umieściwszy pochodnię w przeznaczonych do tego żelaznej klamrze, ujął swego pana w silne ramiona i przez podziemne przejście zaniósł go szybko do dworu.

Po kilku serdecznych słowach podziękowania księżna Leinster i lady Fitz-Gerald udały się niemi tą samą drogą. Łucya zanim połączyła się z matką i siostrą, podała rękę Reginaldowi i życzliwym spojrzeniem pożegnała wicehrabiego.

Gaillefontaine pozostał sam z półkownikiem.

Gdy pierwszy spojrzął na drugiego, przekonał

się nie bez silnego zadziwienia, że tym razem u-  
stąpiła wreszcie zimna krew brytyjska. Sir Re-  
ginald miał twarz zalaną łzami, a co więcej je-  
szcze, nie myślał ukrywać ich.

— Ach! — zawołał łkając. — Winienem panu  
więcej niż życie! Zbudziłeś znów umarłą już we  
mnie nadzieję!

I przeciężony uczuciem żywej wdzięczno-  
ści, rzucił się w objęcia Francuza, ściskając go  
z czułością.

— Ale — zauważył Gaillefontaine z niejakim  
drżeniem głosu — sądzę, że masz półkownika wię-  
cej, niż nadzieję. Przecież lady Cornwallis jest  
małżonką twoją.

— Nie! — oświadczył syn wicekróla ze stano-  
wczoscią — nie będzie nią, dopóki niebezpieczeń-  
stwo nie zostanie zupełnie usuniętem od głowy  
lorda Edwarda. Do owej chwili będę tylko jej  
sługą.

Kto zdołał by wyjaśnić tajemnice serca ludzkie-  
go? Tankred mimowoli uczuł żywe zadowolenie,  
z którym przecież nie zdradził się przed przyja-  
cielem.

Dragoni zaraz po wniesieniu trumny do pie-  
czar, odwalili kamienną płytę bez napisu zamyka-  
jącą jeden z próżnych grobowców.

— Skorzystajmy z tego — odezwał się wicehra-  
bia — i ukryjmy tam trumnę. Nie można być  
zanadto ostrożnym.

## XXXII.

## Wstęp do nowych działań.

Wicehrabia i półkownik siedzieli u stołu w po-  
mieszkaniu tego ostatniego. Po skończonym po-  
silku, gdy oddalono służących, Reginald odezwał  
się w następujące słowa:

— Mówmy o naszej sprawie i powiedz mi, wi-  
cehrabio, w jaki sposób zamierzasz doprowadzić  
do skutku ucieczkę sir Edwarda z Irlandyi. Je-  
stem teraz twym sprzymierzeńcem, powinienem  
więc wszystko wiedzieć.

— Według zdania doktora Slowiusa Jumble  
— odpowiedział Gaillefontaine — Fitz-Gerald  
dopiero po upływie miesiąca będzie w stanie udać  
się w podróż. Otóż czas ten przepędzi tutaj.

— Ach!  
— Pode dworem, zbudowanym na ruinach,  
znajdują się rozległe podziemia. Jest to schro-  
nienie umyślnie urządzone dla tych, którzy potrze-  
bują być niewidzialni. O'Connor przez długi  
czas ukrywał się tu i nikt nie wiedział o niczem. Po-  
zorna żałoba rodziny wytłomaczy, że nie będą  
przyjmować nikogo z obcych. Wierność służą-  
cych jest niewątpliwa. Tak więc zaręczam ci,  
półkowniku, że niema żadnego niebezpieczeństwa  
aż do chwili wyzdrowienia Fitz-Geralda.

— A potem?  
— Ułożyłem się z kapitanem amerykańskiego  
okrętu, który ma popłynąć do Hamburga. Pod  
pretekstem uszkodzenia statku, przybędzie on na  
północo-wschód Irlandyi do przystani Killala.  
Otóż dostaniemy się tam z lordem Edwardem  
i popłyniemy razem do New-Jorku.

— I ty wicehrabio opuścisz nas?...  
Słowa Reginalda miały wyrażać żal, a przecież  
Tankred dojrzał w jego oczach takie samo zado-  
wolenie, jakiego przed godziną jeszcze sam do-  
świadczył.

— Ty zaś, półkowniku — kończył Tankred —  
wystarasz się nam o list bezpieczeństwa, a w sta-  
nowczej chwili ułatwisz nasz wyjazd.

— Możesz liczyć na mnie przyjacielu — odparł  
syn wicekróla. — Zadanie moje będzie tem ła-  
twiejsze, że biskup w Killala jest naszym kre-

wnym. Wrazie potrzeby i on nam dopomoże.  
Jest to szlachetny człowiek, prawdziwy sługa  
Chrystusa.

W tej chwili zapukano do drzwi. Był to służą-  
cy, zwiastujący przybycie lorda Rodena.

Gaillefontaine kilkakrotnie już spotkał się z tym  
młodym oficerem, który przez swą elegancyją we-  
sosość przypominał mu dawnych muszkietierów  
Francyi.

— Półkowniku — odezwał się z niezwykłą mu  
powagą — bardzo mi przykro, że na koniec obia-  
du przynoszę ci złą wiadomość.

— Cóż się stało?

— Nie przybył ani jeden kurjer, niema żad-  
nych wiadomości, ani z Corku, ani z Waterford,  
ani nawet z Dublina.

Zdawało się, że Reginalda wcale nie zadziwiły  
te słowa.

— Domyślałem się — rzekł — że nocny na-  
pad na nas nie był wyjątkowym i jedynym w Ir-  
landyi ruchem.

— Zdaje się, że to samo działo się na wszyst-  
kich drogach — zauważył adjutant. Po mieście  
krążą niepokojące pogłoski. Powiadają nawet, że  
wojska królewskie zostały rozbite.

— To rzecz nieprawdopodobna! — zawołał syn  
wicekróla powstając.

Nagle na ulicy rozległ się hałas.

— Pójdę zobaczyć, co się stało. Wszak poz-  
walasz, półkowniku? — zapytał lord Roden i na  
potwierdzające skinienie swego przełożonego, od-  
dalił się.

Tankred i Reginald zbliżyli się do okna.

Zobaczyli w pośród tłumów wzburzonych i szy-  
dzących tłum żołnierzy: piechurów i kawalerzy-  
stów, przybywających w najwyższym nieładzie.  
Niekórzy byli ranni, większa część bez broni za-  
błoceni i obdarci, a na twarzach dotąd jeszcze  
widać było przestrah i wstyd panicznego po-  
płochu.

— Ach! — zawołał półkownik z oburzeniem.  
— I to mają być żołnierze angielscy!...

Adjutant już powrócił.

— Jest to — wytłomaczył — resztką korpusu  
armii, który, muszę wyznać, został rozbity na  
głowę pod Prosperous i zmuszony do haniebnej  
ucieczki.

— Przez powstańców?

— Tak, półkowniku!

— Przez nędznych chłopów, prawie nieuzbrojo-  
nych i bez dowódców?

Tankred wniósł się do rozmowy oficerów.

— O! ludzie przywiezieni do rozpaczyny mogą  
stać się rycerzami i zwyciężać nawet bez broni.  
Wierz, półkowniku memu doświadczeniu, gdyż  
i ja walczyłem wśród powstańców Wandejskich.

Syn wicekróla miał już kask na głowie i szablę  
przy boku.

— Przebacz, panie wicehrabio — rzekł, teraz  
prawie sucho i zimno. — Muszę wydać rozkazy  
i zarządzić pewne środki ostrożności. Zechej  
tymczasem wypocząć i proszę cię, uważaj się  
u mnie jak we własnym domu.

— Trudno by mi było tu zostać, przerwał mu  
Gaillefontaine. — Każę sobie osiodłać konia i po-  
jadę w okolice na zwiady. Wprawdzie nie należy  
to do mnie, ale jestem ciekawy...

W godzinę później, w towarzystwie Pata kłu-  
sował drogą, prowadzącą do Dublina.

Z początku nie widzieli nic nadzwyczajnego.  
Lecz dalej zaczęli spotykać gromady złożone z ko-  
biet, dzieci i starców, uchodząco pośpiechem do  
miasta z bydłem i wozami, naładowanymi rozlicz-  
nymi ruchomościami. Wojna wybuchła i słabi, któ-  
rzyby w niej zawadzać musieli, usuwali się na  
stronę.

Lecz o parę mil od Kildare droga stała się znów  
pustą zupełnie. Było to pod samym lasem, gę-  
stym i bardzo rozległym. Tankred przeczuwał  
że w głębi jego ukrywały się inne gromady, a je-  
dnak jechał dalej.

Nagle z pośród drzew rozległy się strzały.

— Mushal! — zawołał Pat — koło samych uszu  
gwizdał mi ołowiany ptaszek.

Wicehrabia zatrzymał konia. Czy należało  
powrócić? Zdrowy rozum paddego rozstrzygnął  
tę wątpliwość.

— Kto wie — rzekł półgłosem — czy w tej  
puszczy znaleźlibyśmy łaskawego dobroczyńcę  
z ostatniej nocy? Wprawdzie teraz, oprócz wła-  
snej skóry nie mamy nic innego do strzeżenia,  
zawsze jednak nie masz pan powodu narażać się  
bez celu.

Radząc ostrożność, wierny sługa ani na krok  
nie oddalał się od swego pana.

Po chwilowym jeszcze namyśle, Tankred uznał,  
że dalsze posuwanie się było by nieużyteczną bra-  
wurą, zawrócił więc konia i skierował się znów  
ku Kildare.

Dostawszy się jednak do Curragh, popędził  
wprost przez zielone łąki i przerzucił się na in-  
ną drogę, prowadzącą ku południo-wschodowi.

Z tej strony też same wędrowki włości pod  
miejskich, przecież jezdźcy dobili się bez prze-  
szkody aż do końca kilkumilowej płaszczyzny.  
Lecz z wierzchołka pierwszego wzgórza ujrzeli  
w oddali pomiędzy skałami cały las pik, których  
stalowe okucia połyskiwały w promieniach zacho-  
dzącego słońca.

— Dość już widzieliśmy — odezwał się wice-  
hrabia — ażeby złożyć sprawozdanie półkownikowi.  
Powróćmy do niego.

— Hillu! — rzekł Pat z ciężkim westchnie-  
niem, spoglądając w kierunku Corku. — To tam  
w pośród największej burzy znajduje się moja bie-  
dna Peggy. Oby Ś. Patrick opiekował się nią!

Nie zatrzymano się więcej, aż w Kildare.

Miasto było przepełnione tłumami, przybyłymi  
z okolicy. Znajdowali się tu wszyscy ci, którym  
brakowało odwagi, lub chęci do połączenia się  
z powstańcami. Porozkładali się obozem na pla-  
cach i ulicach, jak ich przodkowie podczas napa-  
dów Duńczyków, lub Normandów.

Nowe coraz tłumy żołnierzy przybywały z po-  
gromu: poznawali się jedni z drugimi, opowia-  
dali sobie smutne historye, szerząc postrach w o-  
kolicy, aż poczęto ich formować w oddziały, na  
prędce zorganizowanej milicyi. Kilku weteranów  
artylerzystów zajęło się ustawieniem na wałach  
nieliczonych starych armat. Zaopatrzone się w ży-  
wność, zabarykadowano przedmieścia. Wszyst-  
kiego tego dokonał sir Reginald z energią i po-  
spiechem.

— Kildare nie oparło by się silnemu atakowi,  
lecz zarządzone przezemnie środki ostrożności są  
dostateczne do odbicia napadu powstańców —  
mówił.

— Czyż więc miasto zostało otoczone ze wszy-  
stkich stron? — zapytał Tankred.

— Nie — odparł Reginald — komunikacya  
jest wolną z północo-wschodem, gdzie dowodzi  
generał Lake. Liczę na niego i oczekuję od nie-  
go dalszych rozkazów.

Nadeszła noc. Zapłonęły wielkie ognie na  
wszystkich otaczających wzgórzach. Były to sy-  
gnały powstania, rozszerzającego się coraz dalej.

Wieczorem powysyłano czaty na zwiady — za-  
den żołnierz nie powrócił z nich do miasta.

Gaillefontaine dopiero późno w nocy udał się  
na spoczynek do przygotowanego dla niego pokoju.  
Po dwóch bezsennych nocach siły młodzieńca by-  
ły prawie zupełnie wyczerpane.

(Dalszy ciąg nastąpi)